

Łódź Odgłosy

Nr 5 (1690)

Rok I (XXXIV)

23 czerwca 1991 r.

Cena 3000 zł

Lech Wałęsa jest
jak... kameleon

„In »Solidarity«”

Rozmowa z Bolesławem Sulikiem
twórcą filmu „In Solidarity”

– Jest Pan autorem filmu „W »Solidarność«”. Czy jest to film obiektywny, czy jest to Pana osobisty pogląd na sytuację w „Solidarności”?

– Jest to film osobisty, ale to nie znaczy, że nie jest obiektywny. Bardzo się boję dowolnego traktowania tych pojęć. Chciałem, aby był to film uczciwy. To, że jest osobisty, nie zwalnia z obowiązku rzetelności, a szczególnie rzetelności wobec faktów. Byłem po stronie Tadeusza Mazowieckiego i jest to moja osobista interpretacja wydarzeń na polskiej scenie politycznej na przestrzeni roku od listopada 1989 do grudnia 1990.

– Zrobił Pan film z punktu widzenia zwolennika T. Mazowieckiego. Jak od tamtego czasu zmieniła się Pana ocena T. Mazowieckiego i czy zmieniła się ocena L. Wałęsy?

Serial »In »Solidarity«” na 28 Międzynarodowym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie został pokazany poza konkursem. Mimo późnych, nocnych projekcji sala festiwalowego kina była pełna. Jak to zwykle bywa, wszelkie wcześniejsze protesty i głosy oburzenia są najlepszą reklamą. Bolesław Sulik był gościem festiwalu, a jego film, mimo że pokazany poza konkursem otrzymał Nagrodę FIPRESCI.

– Moja ocena Tadeusza Mazowieckiego się nie zmieniła. Mam do niego osobistą sympatię, a także do racji, które on uosabia. Natomiast Lech Wałęsa jest politykiem jak najbardziej nieobliczalnym – już dawno nie użyłem tego słowa. Ale L. Wałęsa wygrał, jest prezydentem i należy mu dać pewien kredyt zaufania. Myślę, że on jeszcze w drastyczny sposób tego kredytu nie zawiódł, raczej wielu ludzi uważa go za lepszego prezydenta niż się spodziewali. Ale też ja bym nie chciał tworzyć wrażenia, że byłem przeciw Lechowi Wałęsie w sposób jednoznaczny. On wydawał mi się niewłaściwą osobą na ten moment, kiedy trzeba budować ład demokratyczny, kiedy istniała pewna umowa społeczna zapoczątkowana Okrągłym Stołem, w jaki sposób ten ład ma być budowany. Po czym w połowie poprzez tę dynamikę, jaka się wytworzyła, porzuca się ten plan na rzecz rozwiązań doraźnych dlatego, że talentem Le-

Cd. str. 4



Dowódca wojsk radzieckich w Polsce, gen. Wiktor Dubynin przyjmuje meldunek o wycofaniu jednostki rakietowej do ZSRR.
Fot. M. Markowski

Groźba nowego Rapallo

Polska: rozdeptany trakt

Dzisiaj trudno zdefiniować naszą politykę wschodnią i wątpliwe, czy po wizycie prezydenta Lecha Wałęsy w Moskwie będzie to choć w przybliżeniu możliwe. Znalazła się ona w pół drogi pomiędzy starą formułą – już przebrzmiałą w swym ideologicznym i internacjonalistycznym sztafetu, lecz ciągle aktualną w sensie zależności geopolitycznej i gospodarczej, podległości militarnej – a nową. Ta nowa winna z jednej strony realizować nasze aspiracje i potrzeby, z drugiej zaś – „chodźć po ziemi”, nie popadać w iluzję: „Polska pepkiem świata”, uwzględniać konsekwencje rozległego kryzysu nekającego federację sowiecką. Pewne próby w tym kierunku już poczyniono – tzw. doktryna Krzysztofa Skubiszewskiego, zasadzająca się na równym traktowaniu i moskiewskiego centrum, i rządów republikańskich – ale przyniosły one bardzo mierne rezultaty. Problem: – jaka polityka wschodnia? – pozostaje nadal otwarty, a czas ucieka.

Nie można zbudować żadnej sensownej koncepcji polityki wschodniej bez poczynie-

nia najważniejszych chociażby założeń co do rozwoju sytuacji w głównym jej obiekcie – ZSRR. Tymczasem żywiołowość, różnorodność zachodzących tam procesów, jak też chaos, który jest ich wspólnym mianownikiem stawiają pod znakiem zapytania sens konstruowania jakiegokolwiek prognozy. Sytuacja trochę jak z Konfucjusza – trudno złapać czarnego kota w ciemnym pokoju, tym bardziej, jeśli go tam nie ma.

Jaka przyszłość ZSRR?

Jestem skłonny przychylić się do następującej prognozy. Za najbardziej prawdopodobny uważam długotrwały kryzys społeczno-polityczny, z kontrolą centrum – aczkolwiek w wypadku części republik formalnie wyemancypowanych z federacji – kontrolą rozumianą na podobnych zasadach, jak to miało miejsce do 1989 r. w stosunku do państw ówczesnej wspólnoty socjalistycznej. Zarówno

Cd. str. 3

W numerze m.in.:

◆ Skiroławki po amerykańsku
Już wkrótce!

◆ Nie chcę, ale muszę!
str. 3

◆ W Ozorkowie zapadł wyrok
str. 4

◆ Tajemnice Beaty Tyszkiewicz i Krystyny Jandy
str. 9

◆ Komu Pan Bóg ma zapłacić?
str. 7

◆ Tajemnicze morderstwo z 1944 roku
str. 10

◆ Cotygodniowa powieść „Odgłosów”
str. 15

◆ Telewizja na cały tydzień

Firma  MARWEN

OFERUJE
szeroką gamę
MARMURÓW
polskich i greckich
o pięknej, niespotykanej fakturze:
na ściany ● posadzki ● kominki
● parapety ● elewacje –
z błyskawicznym terminem realizacji – w
cenie od 70 000 do 450 000 zł za 1 m²
95-020 Andrespol k. Łodzi
ul. Rokicińska 148 B
tel. Łódź 13-22-79

W więzieniu na Kraszewskiego żyje się jak w hotelu

Kryminal z wideo

Podobno najbardziej wyszukane dania, łącznie z sosem kaparowym „a la financière”, można sobie zamówić do celi w łódzkim zakładzie karnym przy ul. Kraszewskiego, gdzie serwują posiłki wyrażeni kelnerzy!

Przyznacie Państwo, że podobna wiadomość stanowi dla dziennikarza gratkę, a przynajmniej wymaga sprawdzenia. Wyjaśnijmy od razu, że ten kosztowny dodatek smakowy sporządza się z nierozwiniętych pączków kwiatowych śródziemnomorskiego krzewu capparvis spinosa. W wersji „a la financière” dodatkiem do kaparów są trufle, oliwki, grzybki, obgotowane amoretki i rozdrobnione pulpeciki cielece.

Po minięciu serii zatraskiwanych, żelaznych przegród, które budują dźwiękową atmosferę więzienia, nie powtórzyłem naczelnikowi zasłyszanej plotki, nie licowała bowiem z powagą tego miejsca. Plk. Bogusław Gruchalski objął swój urząd w ubiegłym roku, ale od razu znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Spróbujcie bowiem przy kłopotach na rynku pracy znaleźć zatrudnienie dla więźniów za murami zakładów. Teraz pojawiły się również trudności finansowe: Więzienie zalega z opłatami za prąd, nie reguluje także innych świadczeń. Pieniądzy wystarcza tylko na bieżą-

ce pensje dla pracowników oraz na żywnie skazanych.

Później, na wydziale „S”, gdzie odsiadują wyroki nawet recydywiści skazani na dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności, zastępca naczelnika por. Sławomir Wawrzonek uściśli te dane:

– Na wyżywienie wydajemy dziesięć do dwunastu tysięcy złotych, jest to dzienna norma na skazanego. Zamiast herbaty otrzymują zbożową kawę. Zamiast masła jest margaryna. Ale głodni nie są, na obiad często dostają przyswojowego schaboszczaka, czasem nawet deser, na przykład kisiel. Posiłki są smaczne, jeden z funkcjonariuszy pracował kiedyś w pierwszorzędnej restauracji, zna się na kulinariach.

Czyżby stąd właśnie wzięta się plotka o tym więziennym raj?

Po zakładzie oprowadzała mnie pani Zuzanna Sztarbała, porucznik, kierownik działu oświatowo-wychowawczego. Ukończyła filologię rosyjską na Uniwersytecie Łódzkim i polonistykę (zaocznie) w WSP w Bydgoszcy. Nie mogąc uzyskać pracy jako filolog, poszukała chleba w więziennictwie i dziś tego nie żałuje: jest to pasjonujące zajęcie. Nie boi się wejść

Cd. str. 6



Proponuje konkurencyjne warunki ubezpieczeń krajowych i zagranicznych

Zapraszamy do naszych filii wojewódzkich:

Piotrków Trybunalski

ul. Wojska Polskiego 102 telefon 77-43

Sieradz

ul. Aleja Pokoju 11 telefon 39-86

Skierniewice

ul. Kopernika 3 telefon 42-60

Zatrudnimy na korzystnych warunkach pośredników ubezpieczeniowych z terenu województwa: łódzkiego, sieradzkiego, skierniewickiego i piotrkowskiego.

Towarzystwo

Ubezpieczeniowo-Reasekuracyjne
„POLISA”

Oddział w Łodzi, al. Kościuszki 80/82

☎ 36-24-65, 37-65-26



● Rozmowy „Solidarności” z rządem dały wyniki, które budzą nadzieję na dalszy postęp: rząd zgodził się na „rozluźnienie popiwku”, zobowiązał się, że pracownikom „sfery budżetowej” pensje będą wypłacane zgodnie z terminami. Nie wpłynęło to jednak na zmianę sytuacji w Łodzi. W poniedziałek (17.06.) w „Fonice” minął 5 dzień strajku. Do tej pory nie spełniono żadnego z postulatów załogi. 1 500 osób prowadzi strajk okupacyjny. Regionalny Komitet Strajkowy w Łodzi zebrał dane z referendum przeprowadzonego w zakładach pracy: wyniki nadesłane z 80 przedsiębiorstw wykazują, że trzy czwarte załóg opowiedziało się za krótkim strajkiem ostrzegawczym. 2-godzinny strajk odbył się we wtorek, 18 czerwca w godz. 10-12. Od poniedziałku (17.06.) w Piotrkowskim ogłoszono pogotowie strajkowe.

● Piąte Targi „Interfashion'91” dobiegły końca. Wystawiało 225 firm, w tym 54 zagranicznych. Bilet wstępu kosztował 25 000 zł. Jeszcze za wcześnie na pełne podsumowanie wyników. Z pierwszych obserwacji wynika, że gospodarze nie przygotowali odpowiedniej ilości parkingów, parkowano więc na trawnikach, a policja zbierała mandaty. Organizatorzy są jednak zadowoleni.

● Abonenci telefoniczni z rejonu minionych Targów „Interfashion” odczuli ulgę. Znowu mają czynne telefon. Wyłączono je im na okres trwania targów, bo potrzebne były wystawcom. Nikogo nie uprzedzono o takiej dolegliwości telekomunikacyjnej. Szef WUT - Zbigniew Romanowski w środę (12.06.) przeprosił przed kamerami „Łódzkich Wiadomości Dnia”, tłumacząc się, że nie było innego wyjścia, a „ordynacja telefoniczna” na taki manewr pozwalała.

● Poczta czuje się silnym monopolistą. W Łodzi w wolną sobotę po godzinie 16 nie można podjąć pieniędzy z książeczki PKO. Sprawdziliśmy i trzeba było pożyczyc u znajomych. Jeden z naszych kolegów poinformował nas przy okazji, że najpierw jego telefon przestał działać, a następnie przypadkiem dowiedział się, że zmieniono mu numer. Nikt go wcześniej o takim „numerze” nie powiadomił.

● Prezydent M. Łódzi Grzegorz Palka nosił się z zamiarem wyjazdu do USA. Raz już wyjazd odłożył, gdyż sytuacja w Łodzi była trudna. Dowiedzieliśmy się, że ponownie odłożył wyjazd z podobnego powodu. Prezydentowi i sobie życzymy, aby po raz trzeci nie musiał już odkładać terminu wyjazdu.

● W minionym tygodniu wojewoda Waldemar Bohdanowicz i prezydent M. Łódzi Grzegorz Palka odbyli rozmowy z wiceministrem finansów Wojciechem Maciągiem. Przedmiotem rozmów było 90 miliardów zł, które wydano i teraz nie wiadomo, kto ma je pokryć. Ministerstwo wstrzymało egzekucję należności do czasu wyjaśnienia formalno-prawnych okoliczności sprawy.

● Spór wokół ordynacji wyborczej trwa. Oto komentarz ZJM:

„Polityczna racja urodziła temat. Była ordynacja, ordynacji nie ma. Człowiek głowę traci i rozmyślać musi. Winni ordynacji czy też ordynusi?”

● Katarzyna Stepien z Łodzi została I wicemiss Polonia oraz Miss Gracji. Gratulujemy!

● W niedzielę (16.06.) odbyła się kolejna emisja „Kabaretu Olgi Lipińskiej”. Swoistym komentarzem do niedawnej sejmowej debaty o emeryturach była piosenka „Ziemia młodym, lecz niebo jest nasze”.

● Zbliżają się wakacje. Jak się już szacuje w całej Polsce na wakacje wyjedzie tylko kilkaset tysięcy dzieci. Jeszcze 2 lata temu do Warszawy w czasie wakacji przyjeżdżało 60 000 dzieci ze wsi i małych miasteczek. W tym roku przyjedzie 3 000.

● W niedzielę (16.06.) Jacek Kuroń w Warszawie na Starym Mieście sprzedawał zupę w cenie „co łaska na wakacje i zdrowie dla dzieci”. Ludzie mówili, że zupa była wspaniała, bo zaprawiona sercem i miłością. Również postanka Maria Dmochowska zwróciła się z apelem o pomoc dla dzieci, które powinny wyjechać na wakacje. Podajemy nr kont: PBG II O/Łódź 344612-4343-193-32 „Wakacje dzieci Łodzi” lub Fundacja SOS: NBP O/O Warszawa nr 1052-601106-132-4 „Wakacje dzieci Łodzi”. Popieramy! Dziękujemy!

● Kto nie był niech żałuje. W niedzielę na Stadionie „Orla” odbył się udany „Piknik Kielecki”. Organizatorzy: „Westa-Druk” i „Odgłosy”. Występowały kapele kieleckie, śpiewały „Krajki”, dowcipy opowiadał Tadeusz Drodza. Nad Łodzią krążył helikopter „Westy-Druk”. Można było przelecieć się helikopterem za 60 000 zł. Było dużo różnych atrakcji.

● „Dziennik Łódzki” ma szefa. Został nim Maciej Rosolak. Niegdyś dziennikarz „Tygodnika Demokratycznego”, ostatnio pracownik Kancelarii Prezydenta. Umowę podpisał na 3 miesiące. Na próbę. Życzymy powodzenia!

B. M.

Odgłosy

Tygodnik „Odgłosy”
 Redaktor naczelny Mirosław Kuliś
 Wydawca: „Odgłosy-Press” S.C.
 90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
 ☎ 36-52-44
 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.
 Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Kultura w Łodzi miała swoje okresy niezłe i gorsze. Nie piszę „lata świetności i upadku”, a właśnie „okresy niezłe i gorsze”, bo też nasze miasto nigdy nie aspirowało do roli Krakowa czy Warszawy, a zawsze było jakby modelowym przykładem kulturalnej prowincji. A w taki model, chcemy czy nie chcemy, wpisane jest średniactwo, tzw. przyzwoity poziom, obsada drugiego planu i funkcja tła. Zatem o średniaku trudno powiedzieć, że jest „świetny”, albo, że przeżywa chwile upadku. Jest jaki jest: niezły lub gorszy.

Bywało i tak, że najlepsi w tym średniactwie zdając sobie sprawę, że tu w Łodzi nie posuną się na drodze kariery ani na krok, przenosili się do Warszawy, aby tam też grać rolę pośrednie, ale już w innej skali wartości: średniactwo stołeczne to nie to samo, co średniactwo prowincjonalne. Pominę nazwiska pisarzy, aktorów i innych artystów, którzy z taką intencją do stolicy się przenieśli (jak sądzi, obserwacja ta dotyczy i innych, pozaartystycznych profesji, żeby wymienić np. działaczy i funkcjonariuszy administracji). Kto mieszka w Łodzi więcej niż lat dwadzieścia, łatwo sobie owe nazwiska zrekonstruuje.

Przepatrując dzieje kultury powojennej Łodzi znajdziemy i takie postacie, które przecież ponad prowincjonalną przeciętność wyrosły i jaśniały (niektóre jaśniej dotąd) tak w naszym mieście, jak i po przeprowadzce, najświetniejszymi osiągnięciami. Takie kariery, choć dla łódzkiej kultury mało korzystne mogły satysfakcjonować, bo przewyższały mit „złego miasta” i wspierały emocje lokalnego patriotyzmu.

Łatwo zgadnąć po co to wszystko piszę i skąd w tytule ton elegijny. W tym nietłwym dla polskiej kultury czasie (na ostrym zakręcie, jaki wykonuje właśnie nasz ustrój polityczno-ekonomiczny kultura zdaje się ginąć w kurzu

W tonie elegijnym...

pobocza spychana przez bardziej uprzywilejowane rolwagi), a na prowincji jeszcze trudniejszym. Łódź traci dwie instytucje, bo tak trzeba określić i dyrektora Teatru Wielkiego Sławomira Pietrasa, i dyrektora Muzeum Sztuki Ryszarda Stanisławskiego.

Nie w felietonie pisać o ich dokonaniach, ale w grubych księgach. Jeśli bowiem przez ostatnie dziesiątki lat Łódź mogła czymkolwiek wyróżnić się na mapie kulturalnej naszego kraju, Europy i jeszcze dalej, to właśnie swoim Muzeum Sztuki i Teatrem Wielkim. Nie zawsze potrafiłymi to właściwie ocenić („ile trzeba cię cenić ten tylko się dowie...” itd.), nie zawsze z dobrą wolą oceniali działalność obu dyrektorów tzw. czynników. Mimo to, obie placówki pod rządami swoich szefów upartych, konsekwentnych, wypełnionych nieskończoną wiarą w to co robią, utrwały sobie taką pozycję, że przetrwały cokolwiek znaczący dąsy, nietakty, i inne chwytły z arsenału urzędniczo-politycznej taktyki, charakterystycznej dla wydziałów, komitetów, sekretarzy i kierowników minionego czasu. Jeden tylko przykład: historycznym osiągnięciem Ryszarda Stanisławskiego i jego Muzeum była bezsprzecznie ogromna paryska wystawa w Centre Georges Pompidou pn. „Presence polonaise. L'art vivant autour du Musée de Łódź” w połowie roku 1983. Przyrzemy się tej dacie i spróbujmy zrekonstruować tamten czas, biorąc pod uwagę fakt, że zanim wystawę otwarto, należało ją przez kilkanaście miesięcy przygotowywać.

Ryszard Stanisławski przechodzi na emery-

ture! Czy to możliwe, aby pan o posturze dziesiętnastolatka z krótko przyciętym językiem bez pół siwego włosa osiągnął wiek emerytalny? Jakoś nietłwo przyjąć to do wiadomości. A jak sobie wyobrazić Muzeum Sztuki bez Ryszarda Stanisławskiego?

Drugi grom z jasnego (?) nieba, ale jakby spodziewany mimo wszystko, to awans Sławomira Pietrasa. W tym przypadku przenosiny trzeba przyjąć ze stoickim racjonalizmem: to nawet nie wypada, aby Warszawa miała gorszy Teatr Wielki niż Łódź. Nowy dyrektor przywróci tu odpowiednią hierarchię. W chwili, gdy piszę te słowa nie wiadomo, kto obejmie lutnię po Bekwarku. Sugerowałbym, aby to był Bogusław Kaczyński, który w szlachetnej rywalizacji pokaże co potrafi, a my na tym powinniśmy tylko skorzystać.

Obaj dyrektorzy uhonorowani byli w swoim czasie nagrodą ODGŁOSÓW, co tygodnikowi też przynosi zaszczyt. W Łodzi tymczasem pozostaje trzeci laureat tej nagrody, czyli dyrektor Muzeum Kinematografii. Mimo siwej brody Antoni Szram na emeryturę się nie wybiera (Muzeum obchodziło właśnie huzy jubileusz), a awansować w polskiej kinematografii nie ma gdzie. Jeszcze moment, a cała znajdzie się w Muzeum. I dopiero wtedy Antoni Szram awansuje na szefa polskiej kinematografii. Liczymy, że z siedzibą w Łodzi.

Grzegorz Gazda

Duchowe oczyszczenie w pralni Scheiblera

Kwatera nr 13

Podczas gdy coraz częściej likwidują się, z braku środków, tzw. salony pralnicze (perwersyjny pomysł szczytującego socjalizmu), Muzeum Kinematografii zaprosiło osoby z towarzyswta do swojej pralni w pałacu Scheiblera, inaugurując w ten sposób łódzki salon artystyczny. W niezbyt pogodną noc z 7 na 8 czerwca 1991 r. Daniel Olbrychski na pałacowym podwórku poskromił konia ze stajni pani Biczyc, a Władysław Komar zaśpiewał basem.

Ani jedno, ani drugie nie nosiło znamion wyglupu, miało charakter czysto profesjonalny. Niestety, ani profesjonalizm, ani nawet charakter, nie wystarczają dziś, aby kręcić w Polsce filmy, na które zechce chodzić publiczność. Rzeszyscy deszcz nie pozwolił organizatorom pałacowego spotkania na prezentację dwóch rodzimych produkcji jeszcze z 1963 roku, mimo gotowości widzów i dwóch rozwieszonych w plenerze ekranów. Ponieważ tytuły tych filmów i nazwiska realizatorów znane były zaproszonym, zamiast seansów pod gołym niebem, otrzymaliśmy swoje misterium sztuki

konceptualnej. Odzwierciedlało ono niejako sytuację całej kinematografii, w której coraz częściej mamy do czynienia z pomysłami bez pokrycia, rzecz jasna finansowego. Garstka sponsorów, patronujących „Pralni w kwaterze Scheiblera”, nie zastąpi niestety solidnych inwestorów, którzy zechcieliby w filmie utopić duże pieniądze, aby potem czerpać namacalne korzyści na międzynarodowym rynku sztuki. Na liście wspierających nie znaleźliśmy, ku naszemu zdumieniu, Urzędu m. Łódzi, wśród publiczności dostrzeżliśmy natomiast panią wiceprezydent Elżbietę Hibner, która mokła solidarnie wraz z całym towarzystwem.

Skromne środki nie przeszkodziły dyrekcji Muzeum Kinematografii w rozbudowaniu programu rozweselenia widzów, wyczyniście kas-kaderski i przewyższający swoją finezją pokazy zawodowych strażników, skaczących co i rusz z pałacowych balkonów w płonących ubraniach, wzniciających sztuczne pożary i podpalających magnety, dzięki czemu mieliśmy do czynienia z nieustannym fajerwerkami. Wśród ogni dominował kolor czerwony, co musiało satysfakcjonować przebranych komuchów, choć żaden nie objawił głośno swojej radości: wiadomo, Porozumienie Centrum czuwa i na pewno nie przepuściłoby okazji, aby zdemaskować takiego nieczystego. Na posterunku był również red. Karol Badiak, być

może w poszukiwaniu nowych obiektów do swego „Alfabetu”.

Błoki tematyczne: „Ziemia obiecana”, „Stan wewnętrzny”, „Seksmisja”, „Piraci”, „Fotoplastikon”, i „Winda”, wymuszały się obficie z piwem i wódką serwowaną na świeżym powietrzu. Wprowadziło to wszystkich w dobry nastrój, zwłaszcza że noc była ciepła: towarzyskim rozmowom i radościom nie było końca. W takiej atmosferze zapomina się o wrogości, toteż nawet przeciwnicy polityczni ścisłali sobie dłonie do białego świtu. Czyżby w tej pralni następowało także duchowe oczyszczenie?

Upewnijmy się, że brazylijski odłam rodziny Scheiblerów nie rości żadnych pretensji do pałacu (autentyczność tego odgałęzienia potwierdził ostatnio nawet minister Jerzy Grohman) wzięłem ochoczo udział w parcelacji kwater ziemi przemysłowca i za stosunkowo skromną sumę otrzymałem „Certyfikat nadania ziemi”. Dokument, podpisany przez dyrektora Antoniego Szrama, głosi, że organizatorzy małego jubileuszu filmowego muzeum oddają mi odpłatnie w dzierżawę kwatery nr 13 z „rozparcelowanej własności przemysłowca ziemi obicanej 1/300 powierzchni 3,547 m², stosownie do załączonego projektu planu geodezyjnego”. I z tej działki dokonałem swoich obserwacji, które teraz spisuję nieudolnie, jeszcze podmroczony uwłaszczeniową atmosferą nocnego spotkania.

Konrad Frejdlch

Najbogatsi łodzianie na dalszych miejscach listy polskich bogaczy. Czyżby w Łodzi nie było bogatszych?

Poznański tygodnik „WPROST” (nr 24) opublikował po raz drugi listę 100 najbogatszych – wedle jego oceny – Polaków. Na liście tej znalazło się troje łodzian: Michał Kropidłowski (nr 45 w kolejności według szacowanego bogactwa), Janusz Baranowski (nr 70) oraz Krystyna Sicińska-Lalmi (nr 89, piąta kobieta na liście). Oto charakterystyka najbogatszego łodzianina:

„Lat 45. Z wykształcenia – rolnik. Karię finansową rozpoczął w 1976 roku, otwierając w Łodzi pierwszy w Polsce butik z odzieżą dzinsową. Niezbędny kapitał uzyskał w RFN. Na początku lat 80. uruchomił firmę polonijną „Dampex”, szyjącą skórzane kurtki i kozuchy na rynek RFN.

Niedawno kupił największy obiekt w centrum Łodzi – byłą przedziałnię im. Waltera oraz dwa położone w najlepszym punkcie sklepy. Jest właścicielem lub współwłaścicielem firm „Dolmix” (z kapitałem włoskim), „Depol” (prywatna firma, „na żonę”) oraz „Dampex”.

Ubiegłoroczny obrót szacuje na 25 mld złotych. Posiada dom pod Łodzią, mieszkanie w Warszawie na Saskiej Kępie oraz chatę góralską w Zakopanem. Do własnej dyspozycji ma samolot, a jeździ mercedesem 500. Zimą chętnie wypoczywa na nartach w Szwejcarz, jest także zapalonym myśliwym.

Politycznie nie jest obojętny; należy do zagorzałych zwolenników Lecha Wałęsy, którego kampanie prezydencką wspomagał swoimi funduszami.

Obecnie przygotowuje się do uruchomienia wielkiego składu celnego samochodów, zamierza też uruchomić ekskluzywną wypożyczalnię limuzyn typu Lincoln (z kierowcą) dla biznesmenów”.

Jak doniosła „Gazeta Łódzka” (nr 138) Michał Kropidłowski zaprosił ostatnio do Łodzi dwóch wice-dyrektorów największego na świecie koncernu żywnościowego „Campbell”. Koncern zamierza utworzyć w Polsce swe przedstawicielstwo, a także uruchomić kilka zakładów produkcyjnych.

Drugim co do fortuny łodzianinem jest (wedle „Wprost”) Janusz Baranowski, scharakteryzowany



lakonicznie jako: „założyciel Spółdzielczego Zakładu Ubezpieczeń „Westa”, który dziś obraca kapitałem 200 mld złotych. Tegoroczny laureat przyznawanej przez „Politykę” nagrody im. Zygmunta Szeligi”. Pragnąc uzupełnić tę krótką notatkę, sięgnąłem do majowej „Polityki” (nr 18), skąd wynotowałem poniższe zdania:

„Janusz Baranowski, lat 48, z doktoratu – inżynier chemik, z miłości – mąż i ojciec dzieciom (syn 18 lat, uczy się, córka 20 – studiuje na Akademii Medycznej), z zamiłowania – ryzykant. (...) Podwładni szanują go, trochę się go boją, trochę mu zazdroszczą. Słysze: fanatyk pracy, pracuje po 16 godzin na dobie, nie wie ani co to urlop, ani co to wolna sobota. Zdecydowany, konsekwentny, bardzo wymagający. Twardy w interesach, ale dla ludzi miękki serce; wszystko u niego wyplakać można (to oczywiście mówi kobieta). W dyskusjach – łapie w lot istotę myśli rozmówcy, błyskawicznie decyduje. Bywa nerwowy, potrafi być bardzo nieprzyjemny, ale też i potrafi powiedzieć podwładnemu „przepraszam”. Przed wejściem do gabinetu ludzie indagują sekretarkę, w jakim dziś szef humorze. Lubi szybką jazdę, w czym dzieli upodobanie ze swym kierowcą, który też ją bardzo lubi.

Janusz Baranowski jawi się nam przykładowym archetypem kapitalisty w naszej początkowej fazie rozwoju tego systemu. Człowiekiem, który nie studiował na żadnej zachodniej uczelni, którego nikt nie uczył arkanów marketingu, który nie miał żadnego profesjonalnego doświadczenia w prowadzeniu operacji ubezpieczeniowych; talent – samoródek”.

Powróćmy teraz do „Wprost”, aby znaleźć tam notkę o pierwszej damie łódzkiej finansjery – Krystynie Sicińskiej – Lalmi:

„W Łodzi mówi się, że „Lalmi” wykupiło pół miasta. Pani Krystyna, żona Algierczyka, uruchomiła m.in. zespół prywatnych gabinetów medycznych (w planach – poliklinika) i wynajmuje flotę powietrzną – kilka „Wig”, „An-ów” i „Kruka”. Władza podobno sześcioma językami. Jeździ mercedesem”.

Na zakończenie przypominam ze starej „Polityki” fragment artykułu A. Mozotowskiego o szefie „Westy”. Sądzę, że odnosi się on do całej trójki najbogatszych łodzian:

„Ludziom pokroju Janusza Baranowskiego historia nie będzie stawała pomnikom. Jednakże to oni właśnie mogą wyciągnąć kraj z bagna, w które go historia wpakowała”.

Cd. ze str. 1

w wypadku republik, jak i coraz bardziej zrewoltowanej federacji rosyjskiej, zapewne dokonywać się to będzie przez dublowanie administracji, przez równoległe wprowadzanie struktury pozakonstytucyjnej. Na nich opierają się i opierać będą „wyspowo” wprowadzane stany wyjątkowe; one stworzą (stworzyły?) strukturę docelowo obliczoną na wprowadzenie na całym terytorium ZSRR rządów silnej ręki, funkcjonującą już obecnie jako czynnik prewencyjnego zastraszenia. Uznając taki scenariusz za najbardziej prawdopodobny, nie można wykluczyć i innych wariantów rozwoju sytuacji – utrzymywanie się obecnego chaosu, rozpad federacji bez wkroczenia armii, dyktatura wojskowych, tzw. słowiański wariant Aleksandra Sołżenicyna (federacja z trzech członów: Rosja, Ukraina i Białoruś), czy wreszcie wojna wewnątrz federacji. Wydają się

Cele strategiczne polskiej polityki wschodniej

Realizacja celów strategicznych polskiej polityki wschodniej, jej metody, to zagadnienie o szczególnej skali trudności, porównywalnej z czekającymi nas dylematami moralnymi. Co najmniej będzie prawdopodobnie pole manewru – tak między ZSRR a Niemcami (reanimowanie cienia Rapallo), jak i między ZSRR a Europą Zachodnią i Stanami Zjednoczonymi. Musimy liczyć się z tym, że dla Berlina i Moskwy stosunek do Polski będzie pochodną ich relacji wzajemnej. Europa jako całość będzie starać się możliwie jak najdłużej – mimo pięknych obietnic, których już tyle nam złożono – utrzymać Polskę i inne państwa postkomunistyczne w roli bufora gospodarczo-społecznego, odgradzającego ją od wschodniej biedy i chaosu, od napływu fali emigrantów. Tendencja ta znalazła już w zachodniej politologii i publicy-

Polityka realizmu czy dobre chęci?

Czytelnik zapewne zastanawia się, ile tu tak postulowanego realizmu, a ile chęci i pobożnych życzeń? Niestety, realnie rzecz biorąc, perspektywa skorygowanej polityki wschodniej RP to nie aktywne kształtowanie nowych stosunków bilateralnych z Moskwą, ale raczej trafne prognozowanie ogólnego trendu w stosunku Niemiec i mocarstw zachodnich do ZSRR (i vice versa) i wyprzedzanie pewnych spraw, dopasowywanie się w porę. Musimy zdobyć pozycję pomostu pomiędzy Zachodem, rozumianym znacznie szerzej niż tylko Niemcy, a ZSRR (tranzyt, pośrednictwo handlowe, podwykonawstwo, doradztwo) – ale pomostu na warunkach opłacalnych, a nie rozdeptywanego, niszczonego gościńca. Jak pokazała sprawa tranzytu przez nasze terytorium wycyfyowanych z byłej NRD wojsk sowieckich,

Polska: rozdeptany trakt

one jednak znacznie mniej prawdopodobne. Przy takim rozwoju sytuacji polska polityka wschodnia winna orientować się przede wszystkim na centrum, nie zrzucając bezpośrednich stosunków z republikami, ale utrzymując je w ograniczonej formie, bez prowokowania Moskwy. Głównym zadaniem tak rozumianych stosunków byłoby zapewnienie naszym przedsiębiorstwom gwarancji centrum dla operacji dokonywanych na rynku sowieckim. W aspekcie międzynarodowym wszelkie angażowanie się w sprawy niepodległości poszczególnych republik związkowych kładłoby się cieniem na szansach realizacji tego celu doroząnego. Natomiast nadrzędnym, strategicznym celem naszej polityki wschodniej winno być zapewnienie w długim okresie stabilnych dostaw surowców, bez warunków zagrażających naszej suwerenności politycznej. Innymi celami strategicznymi byłyby: zapewnienie bezpieczeństwa państwa na wypadek gwałtownego przebiegu procesu rozpadu federacji sowieckiej; uzyskanie rekompensat i świadczeń mających formalnoprawne bądź moralne podstawy; zapewnienie Polakom, obywatelom ZSRR bądź państw powstałych w jego obecnych granicach statusu pełnoprawnych obywateli, mogących w sposób nie skrupowany realizować swoją polskość. Tu dotykamy bardzo trudnego zagadnienia: na ile cele te można narazić na szwank z pobudek moralnych, jeśli znajdziemy się – a z pewnością będzie tak wielokrotnie – w sytuacji konieczności reagowania na ewidentne przejawy łamania praw człowieka, poniewierania suwerenności republik związkowych, sięgania do metod terrorystycznych, naruszania przez Moskwę zobowiązań międzynarodowych, pośrednio nas dotyczących. Wyważenie tych dwóch kwestii – cele strategiczne a „zachowanie twarzy” – to chyba najtrudniejsze zadanie czekające politykę wschodnią RP.

stycie swoją nazwę – „nowa regionalizacja”. Musi to być punktem wyjścia dla wszelkich rozważań z zakresu taktyki realizacji polskiej polityki wschodniej.

Nową koncepcję polityki wschodniej należy widzieć zarazem w perspektywie historycznej. Wszelkie korektury czy dalej idące zmiany muszą uwzględniać realia i uwikłania ostatnich 47 lat, a niekiedy także sprawy wcześniejsze. Szczególnie w zakresie służnych roszczeń lata te osłabiły naszą pozycję, znacznie łatwiejszą i czytelniejszą w drugiej połowie lat 40, gdy nie mogło być mowy o kontrargumentacji zaniechania, wymuszonego przez późniejsze stosunki „przyjaźni”. Dużego kunsztu dyplomatycznego wymagać będzie wprowadzenie – z szansą na pozytywny rezultat – do stosunków wzajemnych takich spraw, jak: wypełnienie przez stronę sowiecką nie zrealizowanych klauzul Traktatu Ryskiego z marca 1921 r.; renegecja kwestii skandalicznego wymanewrowania Polski z prawa do odpowiadającej jej stratom puli reparacji niemieckich (adresatem tych pretencji winny być na równi ZSRR i Niemcy); postawienia w sposób nie incydentalny (śso-lineum), lecz en bloc sprawy doboru „altury polskiej zajętych przez ZSRR po 17 września 1939 r.”; kolosalnego zakresu roszczeń z tytułu eksterminacji ludności polskiej kresów wschodnich, pracy niewolniczej, zajętego mienia, działalności na naszym terytorium tzw. trofiejszczaków i sowieckich komendantów wojskowych, zbrodni „Smerszu” itp.; podważenia zasad, na których po 1958 r. stacjonowały i stacjonują na naszym terytorium wojska sowieckie, bądź co najmniej wynegocjowania rewaloryzacji opłat i wprowadzenia ryczałtu za sprawy dodatkowe, wówczas pominięte, głównie z zakresu ekologii.

zadanie to wymaga wielkiego – i niestety brakującego nam – kunsztu dyplomatycznego. A rama nowego Rapallo już istnieje.

Jakimi sposobami osiągać zamierzone cele?

Musimy też pamiętać, że praktycznie Polska nie dysponuje żadnym efektywnym środkiem nacisku na realizację przez ZSRR zobowiązań w stosunku do nas. Grozi to, jak częściowo już widać, kolosalnymi zagrożeniami dla naszej gospodarki, dla której – w jej obecnych strukturach organizacyjnych i kondycji – trudno stworzyć mechanizm reasekuracyjny. Pewnym środkiem nacisku przy egzekwowaniu naszych zasadnych pretencji mogą być utrudnienia w sowieckim tranzycie na Zachód i z Zachodu, ale jest to nie pozbawione dużego ryzyka. W nieznacznym stopniu takim środkiem nacisku w wybranych kwestiach mogłaby być moralna presja społeczności międzynarodowej, ale – jak wykazała przeszłość – Moskwa jest na nią dość odporna. Być może najskuteczniejszą byłaby dyferencjacja naszej polityki wschodniej (ZSRR, Rosja, Białoruś, Ukraina), lecz to też sprawa wyjątkowo trudna, że przypomnę fiasco wizyty ministra Krzysztofa Skubiszewskiego w Mińsku.

Pewną szansę polskiej polityce wschodniej stwarza ewentualna korelacja z polityką innych państw Europy Środkowo-Wschodniej (czy nawet szerzej) – w pierwszym planie z Czecho-Słowacją i Węgrami, w dalszym z grupą pentagonalną i państwami skandynawskimi. I tu również dotykamy materii niesłychanie delikatnej, jak zaświadczały próby czynione w okresie międzywojennym przez dyplomację II Rzeczypospolitej, a także pierwsze, nieśmiało doświadczenia takiej korelacji.

Wojciech Materski

PREZENTACJE

Zdzisław Jaskuła



Podobno cechą urodzonych pod znakiem Koziorożca jest wybujała ambicja, dlatego obrał sobie życiową dewizę: cmentarze pełne są ludzi niezastąpionych.

Dzieciństwo w Łasku. Pamięć osób i rzeczy bliskich. Dużą rolę w jego życiu odegrała nauczycielka od polskiego pani Jadwiga Balicka.

Poezją zainteresował się na serio pod wpływem wierszy Małgorzaty Hillar, które przyniósł do domu brat. Zaczął pisać erotyki nie mając żadnych doświadczeń, posiadał jedynie wyobraźnię i wrażliwość. Ale pierwszym własnym utworem, jaki ujrzał w druku była proza „Niebieski okręt” na debiutanckiej kolumnie w tygodniku „Na przełaj”.

Pierwszym zawodowym literatem, którego osobiście poznał, był Tadeusz Gicgier, który przyjechał na spotkanie autorskie do Łasku. Dzięki niemu nawiązał kontakt z Jackiem Bierzynem, połączyła ich przyjaźń. Po przyjeździe do Łodzi na studia w roku 1969 szybko wszedł w krąg młodych pisarzy nie bojąc się niebezpiecznych przyjaźni z represjonowanymi przez reżim.

Pierwszym doświadczeniem politycznym było przesłuchanie na ubecji. Nie przestraszył się, groźby wzbudziły jego sympatię do przesładowanych przyjaźni. Kiedy powstał KOR, stał się jego zwolennikiem. Kosztowało go to przymusową przerwę na studiach, ostatecznie ukończył filologię polską na KUL-u, napisał pracę magisterską z dziedziny interpunkcji.

Pierwszą jego książką był niewielki tomik poetycki „Zbieg okoliczności” wydany w ramach cyklu „Generacje”. Krytyka przypisała go do Nowej Fali, nie wiadomo czy szczerze, bo krytyka nie tylko lansuje mody, także kroczy za modą. Tomik złożony w Wydawnictwie Literackim nigdy się nie ukazał. Był to sygnał, że ubecja i tutaj ma wpływ. Książeczka miała się nazywać „Światowy miesiąc serca”. Historia literatury w PRL to także historia książek nie wydanych.

Ubecja nie wpadła na trop „Dwóch poematów” wydanych przez „Nową”. Na kserografie. W 1977 r. Była to druga pozycja tej zasłużonej oficyny, która przywracała Polsce jej historię i literaturę.

Powstanie „Solidarności” powitał z entuzjazmem, ale nie zapisał się do związku: poeci nie mają pracodawców. Potrzeba utrzymania rodziny zmusiła go jednak do wzięcia etatu. Został kierownikiem literackim Teatru Studyjnego, był to akt osobistej odwagi dyrektora Pawła Nowickiego. U tego reżysera zagrał też w jego adaptacji „Biesów” Dostojewskiego. Stiepan Trofimowicz Wierchowienki to przecież nieszczerznie przesładowany przez carską policję, nadawało to smaczek przedstawieniu. Reżyser stawiał swemu aktorowi profesjonalne wymagania, a płacił mu jak amatorowi.

Potem były jeszcze lata zatrudnienia w Szkole Filmowej i rozstanie się z etatem, z własnego wyboru, poeci nie powinni bowiem uzależniać się od poborów. Wcześniej Wydawnictwo Łódzkie opublikowało jego tomik „Maszyna do pisania”, za który dostał nagrodę „Radaru”. Był to rok 1984, młodopartyjni poeci chodzili z donosami do komitetu, mówili o autorach z opornikami w kłapie, Łódzka Rozgłośnia Polskiego Radia trzęsła się z oburzenia.

Dziś, jak dawniej, Jaskuła obserwuje świat z perspektywy ulicy Wschodniej, po której bruku chodzili Reymont i Piłsudski, a bojowcy PPS strzelali do konfidentów ochrony. Ma przyjaciół wśród melinarzy, intelektualistów i młodych, kapitalistycznych wilczków. Zajął się wydawaniem poezji. Na pierwszy ogień poszły „Sonety mitosne” Mickiewicza sygnowane przez wydawnictwo Peon V. W przygotowaniu „Ballady i romanse”. Jest sam sobie dyrektorem i księgowym. I wciąż jest poetą.

K.F.

UWAGI SCEPTYKA



Hierarcha, podobnie jak i wielu jego kolegów, wywodzi, że „programy katolickie w radiu i telewizji oraz religia w szkole – to ewangelizacja; poświęcenie szkoły, szpitala czy warsztatu pracy, połączone z odpowiednią modlitwą i przepowiadaniem Słowa – to ewangelizacja; konsekwentne głoszenie prawd i norm moralnych, nawet gdyby były bardzo niepopularne – to ewangelizacja.

Obsesyjne niemal dopatrywanie się klerykalizmu – kontynuuje biskup – w działalności ewangelizacyjnej Kościoła może być następstwem ignorancji. Ma to miejsce wtedy, gdy ktoś nie orientuje się, jakie jest najważniejsze i podstawowe poslanectwo Kościoła. Niestety, błąd ten występuje

dość często”. Bijąc się z pokorą w piersi przeproszam Ekscelencję za swą ignorancję, która mnie mamie jest wszakże takim samym darem Boga jak oświecony wywód hierarchy duchownego, ale zgodzić się z meritum sprawy nie mogę.

Ewangelizacja w cytowanym ujęciu to szeroka obecność duchownych w radiu i telewizji, w szkole, szpitalu i warsztacie pracy, którzy modlitwą i przepowiadaniem Słowa, wpływaniem na treść prawa i ustaw sejmowych starają się głosić prawdy wiary i jedynę, ich zdaniem, prawdziwe normy moralne. Taka jednak obecność oznacza właśnie dominujący wpływ kleru na życie społeczne, a zatem klerykalizację.

Papież na spotkaniu z nauczycielami i katechetami w katedrze włocławskiej mówił, że „Chrystus nakazuje Kościołowi ewangelizację całego świata, aż po jego krańce” (cytuje „Gazeta Wybrocza” z 10.06) wprost potwierdził, że istotą wpływu Kościoła na społeczeństwo jest upowszechnianie przez duchownych kościelnego sposobu interpretowania świata i miejsca człowieka na świecie. A zatem co najmniej podejmowanie prób klerykalizacji.

Wprawdzie w tym samym przemówieniu papieskim znalazły się słowa, że „nie do pogodzenia z prawdą chrześcijańską jest postawa fanatyzmu czy fundamentalizmu tych ludzi, którzy w imię ideologii uważającej się za naukową lub

religijną, czują się uprawnieni do narzucania innym własnej koncepcji prawdy i dobra”, ale czyż dla zrozumienia całego problemu nie jest kluczem stwierdzenie – nie chcemy, ale musimy!

Czyż biskup, który w próbach wszechobecności Kościoła i kleru nie chce dojrzeć przejawów klerykalizacji i tym, którzy o istnieniu takiego zjawiska ośmielają się mówić, zarzucający ignorancję czyli brak wiedzy i nieuctwo, nie powinien posłużyć się tym prezydenckim zawołaniem – nie chcę, ale muszę? Nie jest przy tym ważne kto kogo cytuje i kto naprawdę jest autorem tego powiedzenia.

Pozwalam sobie wyrazić przekonanie, że mnie

Nie chcę, ale muszę!

Bóg, niezależnie od religii i sposobów prezentacji, nie przeszkadza i mam nadzieję, że vice versa, moje skromne istnienie i poglądy także nie przeszkadzają Bogu. Dodam jeszcze, że szczerze szanuję ludzi, dla których wiara jest głębokim, ale i dyskretnym, osobistym przeżyciem wewnętrznym. Przeżyciem, którego potrzeby ja nie odczuwam.

Trudno mi jednak pogodzić się z natrętną obecnością „urzędników pana B.”, by posłużyć się określeniem z pięknej piosenki niedawno wykonanej w kabarecie Olgi Lipińskiej. Oni nie chcą, ale muszą, pewnie z własnego nadania, urządzić świat i narzucać takim ludziom jak ja swój punkt widzenia jako jedynie słuszny. Jeśli zaczynać być wszechobecni we wszystkich przejawach życia społecznego, to jest to właśnie klerykalizacja, o której biskup Adam Lapa sądzi, że jej w ogóle nie ma i wyraża pretensję, że „są ludzie, którzy nadal chętnie widzieliby Kościół w rezerwacie”.

I jeszcze jedno – Boga, jeśli jest, lepiej do tego nie mieszać, bowiem wcale nie wiadomo czy jest klerykałem i czy rzeczywiście podziela w pełni poglądy i aspiracje swego „naziemnego personelu”. Można tylko żałować, że tego rodzaju wątpliwość, jak się wydaje, jest poza świadomością księdza biskupa i jego wcale licznych kolegów.

Jan Wolborski

Nie można tworzyć innej wersji historii na wywóz, a innej na recenzję domową

Cd. ze str. 1

cha Wałęsy są fakty dokonane, rozwiązania doraźne, posunięcia na zasadzie sposobów.

– Czym różniłaby się w tej chwili sytuacja w Polsce, gdyby prezydentem był Tadeusz Mazowiecki?

– Myślę że sytuacja różniłaby się, gdyby nie doszło do tego starcia i do wyzwolenia najróżniejszych napiętości w okresie kampanii prezydenckiej. Ja mam taki pogląd, że w okresie przed tą kampanią społeczeństwo polskie, które nagle znalazło się w tej zupełnie nowej sytuacji, jeszcze się politycznie nie określiło, mnóstwo ludzi szukało właściwej orientacji. Otóż to społeczeństwo określiło się w sposób niedobry, moim zdaniem, w toku bardzo gwałtownej i często trudnej kampanii politycznej i bardzo dużo z tego pozostało. Myślę, że błędem było może nie to, że został wybrany Lech Wałęsa. Błędem było w ogóle, że wybory się odbyły w tym momencie. Zarzucono zamiar, żeby najpierw uchwalić konstytucję, żeby najpierw był nowy parlament, a potem wybór prezydenta o określonych kompetencjach.

– Kampanie na Zachodzie są jeszcze bardziej dynamiczne i dramatyczne. Dlaczego nie ma być takich kampanii również w Polsce?

– Ja bym bardzo chciał, żeby były, ale kampanie na Zachodzie odbywają się w systemie stabilnym, gdzie wszyscy znają język polityczny demokracji, gdzie ludzie wiedzą, że każde

od zewnątrz, inne doświadczenie społeczne i polityczne, bo większość życia spędziłem w Wielkiej Brytanii, gdzie na przykład można zrobić film przeciwko premierowi i nawet jeśli ktoś się o to obrazi, to nikt nie odmawia takiego prawa. Niedawno BBC emitowało film o tym, jak John Major jest w gruncie rzeczy niewykształcony i niemądry i, jak się okazuje, nie ma maturo. Nie było żadnego oficjalnego protestu ze strony rządu po emisji.

– Moje wrażenie po obejrzeniu tych czterech odcinków jest takie, że zastosował Pan schemat: Mazowiecki – zamysłony, zatroskany, Wałęsa – zadolowany z siebie i butny. Czy tak odbiera Pan tych polityków, czy to moje mylne wrażenie?

– Nie tylko tak. Starałem się wzbogacić tę konfrontację polityczną. Założeniem strukturalnym było, że będzie to film narracyjny, że będzie to opowieść o wybranej grupie bohaterów, bo oprócz Mazowieckiego jest Frasyniuk, Kuroń, Geremek i inni. Myślę, że nie jest fałszywe przedstawienie Mazowieckiego jako człowieka introspekcyjnego...

– ...ale czy nie jest to ograniczenie tej osoby tak, jak ograniczeniem jest pokazywanie Wałęsy zadolowanego z siebie, bez żadnych wątpliwości. Czy nie nudzi Pana taki schemat często, jak mi się wydaje, burzony przez rzeczywistość?

– Nie myślę, żebym pomniejszył w ten sposób którąkolwiek z tych osób. Myślę, że byłaby to racja, jeżeli tak to Pani odbiera, to się tym martwię, gdyby w ten sposób te postacie wyszły

In »Solidarity«

nawet najbardziej gwałtowne starcie polityczne kończy się kompromisem, kończy się wygraną jednej ze stron, ale właściwie kompromisem, podczas kiedy tutaj tak nie było. Tutaj to się odbywało w sytuacji płynnej. Ja w ogóle nie wierzę, tak jak wydają się wierzyć ludzie z obozu Wałęsy, żeby demokrację można było stworzyć na zasadzie wybuchu rewolucyjnego. Demokrację trzeba mozolnie budować a szczególnie w społeczeństwie, które nie miało takiego doświadczenia od wielu, wielu lat.

– Z jednej strony mówi Pan, że uważa „In »Solidarity«” za film rzetelny, z drugiej mówi Pan, że zrobił ten film z punktu widzenia człowieka z obozu Tadeusza Mazowieckiego i, jak można stwierdzić, dużo więcej czasu poświęca Pan innym jego zwolennikom niż stronie L. Wałęsy. Jak można pogodzić te fakty?

– Pytanie skierowane jest tak, jakbym ja robił film propagandowy. Ja od początku nie chciałem robić filmu propagandowego, manifestu, pamfletu politycznego. To była obserwacja z mojego stanowiska, która wyraża oczywiście mój punkt widzenia, moją perspektywę, a ta perspektywa także była wyznaczona przez możliwości. Przez to, że ja, gdy tutaj zjechałem w roku 1989, miałem akces od ludzi, którzy byli kiedyś moimi osobistymi przyjaciółmi np. Jacka Kuronia, Jana Lityńskiego, Adama Michnika.

Trzeba pamiętać, że w tym momencie oni nie byli przeciwnikami politycznymi Lecha Wałęsy. Ja wybrałem sobie bohaterów przed rozłamem w „Solidarność”. Pierwsze takie wielkie zebranie, kiedy filmowaliśmy etos „Solidarność” w grudniu 89, było taką trochę teatralną demonstracją jednostronności ruchu wbrew wszystkim odmiennym głosom i dyskusjom w łonie „Solidarność”. Nie jest więc moim scenariuszem rozłam w „Solidarność”. Tak się stało, że moi bohaterowie znaleźli się wszyscy po jednej stronie i ja te optykę, perspektywę przyjąłem nie tylko dlatego, że byłem z nią emocjonalnie związany, ale uważałem, że mam lepsze szanse zrobienia dobrego filmu. Myślę, że pokazując całość, ale całość z perspektywy obozu Mazowieckiego.

– Czy ta perspektywa nie wykrzywia czasami obrazu drugiej strony?

– Każdy dobry film jest osobisty i jest z jakiejś określonej perspektywy. Myślę, że film byłby nierzetelny, gdybym ja te struktury zamazywał. W pierwszej scenie filmu, w komentarzu angielskim widzimy, że jest to głos człowieka – wygnańca, który wraca do kraju, czyli ja mam prawo do głoszenia osobistych poglądów, do wykreślenia tej perspektywy. Ja nie bardzo wierzę w możliwość, bo nakręciłem ponad 300 godzin materiału i mimo to, że byliśmy prawie wszędzie, gdzie się wydarzenia ważne działy, nie można by stworzyć z tego filmu kronikarskiego, nie można pokazać wszystkiego. Tak więc z konieczności jest to selekcja i selekcja, na którą się zdecydowałem dosyć wcześnie. Oczywiście, że można by zrobić inne filmy. Można zrobić film, w którym bohaterem zbiorowym byłoby bracia Kaczyński na przykład i na pewno byłby to też interesujący film, ja zrobiłbym inny.

– Czym różni się Pana perspektywa oglądania spraw polskich od perspektywy ludzi, którzy tu mieszkali przez cały czas. Czy uważa Pan, że ten dystans daje Panu lepszy punkt wyjścia do takiego filmu, inne spojrzenie?

– Mam nadzieję, że tak. Nazywałem siebie w wywiadzie dla „KINA” zaangażowanym outsiderem i tak siebie trochę widzę. Jestem bardzo zaangażowany w sprawy polskie, ale myślę, że przynoszę ze sobą trochę spojrzenia



Lech Wałęsa jest kapryśny i zmienny jak kaleleon

o mniejsze. Mnie polityka bardzo interesuje i interesują mnie politycy. Myślę, że sztuką tutaj jest sprowadzić ich do rozmiarów normalnych ludzi, a jednocześnie znaleźć źródło ich niezwykłości. Ja chciałem to zrobić. Myślę, że obaj są ludźmi niezwykłymi, ale obu chciałem udostępnić widzowi. Polityków nie należy pokazywać w żadnej aureoli, wprost przeciwnie, należy być jeszcze bardziej krytycznym i stosować wobec nich najostre kryteria.

– Jak ten film został odebrany w Anglii? Jakie były opinie Polonii, a jakie widzów angielskich?

– Przez krytyków i Brytyjczyków zupełnie znakomicie. Nie przesadzę, jeśli powiem, że ta sekwencja z drugiej części posiedzenia Komitetu Obywatelskiego 24 czerwca 90 jest cytowana już jako pewnego rodzaju klasyk. Natomiast jeżeli chodzi o Polonię, była paratygodniowa pauza po emisji. Starej Polonii, której organem porozumiewania się jest „Dziennik Polski”, sygnał do ataku dali reprezentanci Porozumienia Centrum. Myślę, że mam prawo tak mówić, bo zaczęły się na przykład anonimowe telefony do mnie w parę tygodni po emisji. Ja nie bardzo wierzę, żeby spontaniczny gniew dojrzał przez parę tygodni, po czym nagle wybuchł. Była to kampania trochę sterowana, choć na pewno u wielu ludzi było to szczere. Są takie mechanizmy, o których niechętnie powiem, że uważam za kompleks prowincjonalizmu. Ludzie mówią np., że jak takie rzeczy można pokazywać Anglikom, że w złym świetle przedstawiam Polskę Anglikom. Po pierwsze jest to nieprawda, a po drugie nie można tworzyć innej wersji historii na wywóz, a innej na konsumpcję domową.

– Pański film, jeszcze przed jego emisją tutaj, wywołał bardzo dużo komentarzy i ataków w prasie. Czy zgodzi się Pan ze stwierdzeniem, że było to spowodowane faktem, iż nazwał go Pan „W »Solidarność«”, po czym oczekiwało przedstawienia sytuacji w całej „Solidarność”, natomiast Pan zajął się jedną grupą uczestników wydarzeń.

– Od razu się przyznam, że to nie był mój tytuł. Ja proponowałem inne tytuły: albo „Rok w Polsce” albo zupełnie inny „Przebudzenie demonów”. Tytuł został mi narzucony. Dowie-

donad trzydzieści lat temu Halina S. stała przed kadrową w Ozorkowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego „Morfeo”, przestępując nerwowo z nogi na nogę. Denerwowała się, bo w dokumentach podała nieprawdziwą datę urodzenia; dodała sobie rok, by przyjęto ją do pracy. Pracować musiała, ponieważ rodzice nie dawali sobie rady z utrzymaniem sześciorga rodzeństwa. Wreszcie urzędniczka przestała przeglądać jej dokumenty i potakująco skinęła głową. Następnego dnia Halina S. mogła zacząć pracę na tkalni.

Dziś ma 51 lat i marzy, żeby być już na emeryturze. Trzydzieści cztery lata w nieludzkim rytmie trzech zmian. Nie warto nawet mówić

skazitelnej opinii, gdy dostał wypowiedzenie poszedł na dużą wódkę, a potem powybijał kilka szub w bloku.

– W ciągu kilku miesięcy tego roku liczba przestępstw w Ozorkowie wzrosła w niewielkim stopniu – mówi podkomisarz Henryk Chojnacki z Policji Lokalnej. Dość znacznie wzrosła jednak liczba kradzieży z włamaniami do obiektów społecznych, gdzie wykrywalność niewiele przekracza 50 procent.

Naczynia połączone

Upadek „Morfeo” to śmierć dla miasta. Elektrociepłownia, która jest częścią „Morfeo” zasilą w parę „Latony” i dostarcza ciepłą

Na 22 tysięcy mieszkańców, połowa bez pracy

W Ozorkowie po wyroku

o zylakach i że źle widzi. Takich jak ona jest tutaj setki.

Halina S., choć nie zna pewnie się na ekonomii, wie co to znaczy, gdy tkaczki zbierają resztki przędzy z podłogi, dosłownie ostatnie śmieci, i robią z nich bawełnę. Kto ją przyjmie do pracy, jak zakład padnie?

Stracone złudzenia

Jeszcze wiosną ubiegłego roku wyczuwało się w „Morfeo”, największym zakładzie w mieście, trochę nadziei na odmianę losu. Tę nadzieję „Solidarność” i część pracowników widziała w zmianie dyrektora. Dyrektor początkowo bronił się przed utratą posady, a potem wycofał się na długie zwolnienie lekarskie.

Na konkurs ogłoszony przez Radę Pracowniczą zgłosił się tylko jeden kandydat. Ministerstwo odstąpiło od konkursu i powierzyło obowiązki dyrektora właśnie temu jednemu kandydatowi, dotychczasowemu kierownikowi tkalni, inż. Zbigniewowi Starzyńskiemu.

To samo nazwisko nosił założyciel miasta, który w pierwszych latach XIX wieku na terenie wsi Ozorków zapoczątkował rozwój przemysłu włókienniczego, a później popierał przybyszów z Akwizgranu, braci Fryderyka i Henryka Schlässerów w zbudowaniu zakładu będącego protoplastą dzisiejszego „Morfeo”. Marzyciele mogli uchwycić się tej iluzorycznej nadziei.

W lutym i marcu popyt na wyroby „Morfeo” ustabilizował się, ale później zaczął spadać. Zakład od lat produkował przede wszystkim na rynek krajowy. Dla odbiorcy, który jest dziś bez pieniędzy i ma coraz wyższe wymagania, jedynie pościółka drukowana nieźle się sprzedaje. Przetawienie się na taką produkcję wymaga drugiej drukarki. Dla „Morfeo” ten wielomiliardowy wydatek jest nierealny. W tym zakładzie o powierzchni 360 tys. metrów kw. wykorzystuje się obecnie 40 procent możliwości produkcyjnych. „Zysk” po opodatkowaniu za ubiegły rok wyniósł minus 25 mld, a w pierwszym półroczu tego roku wyniesie ponad minus 10 mld. Bank nie chce już kredytować „Morfeo”.

Wyczekiwanie na cud

Bożena Buczyło, kierowniczka Rejonowego Biura Pracy w Ozorkowie cieszy się z rychłej przeprowadzki do nowego lokalu. Skończy się wreszcie to upokarzające ludzi wyczekiwanie na swoją kolejkę na dworze i przyjmowanie w ciastnym pokoju, w którym interesanci oddzielani są od urzędników barierką.

Blisko 30 procent ludzi spośród zdolnych do pracy w Ozorkowie ma już swoją kartotekę w biurze. Ofert pracy jest bardzo mało. W zasadzie pojedyncze zgłoszenia. Jedynie spółka z udziałem kapitału amerykańskiego „Corporation” przyjmuje szwaczki. Ale kobiety omijają tę firmę. Bo większość szwaczek – amateerek nie wytrzymuje tempa pracy i nie spełnia wymagań co do jakości. Jedynie szwaczka z „Latony”, szyjąca na eksport dałaby tu sobie radę.

Jednak głód pracy w tym mieście, będącym już na krawędzi przepaści, nie ma. Ozorkowianie tak jak w całej Polsce dorabiają sobie do zasiłku pracą na czarno i handlem na targowisku. Nie zdarzyło się jeszcze, aby ktoś, komu cofnięto zasiłek, walczył o zmianę tej decyzji. Za to w Ośrodku Pomocy Społecznej liczba osób otrzymujących zapomogi wzrosła w ciągu pół roku o 50 procent. 80 procent to ludzie młodzi, między 30 a 40 rokiem życia. W najbliższych miesiącach, a nawet tygodniach bezrobocie może stać się w tym 22-tysięcznym miasteczku dramatem. Upadek „Morfeo”, w którym pracuje 1590 osób, w wielu przypadkach całe rodziny, może sprawić, że bez pracy znajdzie się połowa czynnego zawodowo społeczeństwa.

Pan Z. zwolniony z pracy usiłował włamać się do sklepu spożywczego. Złapano go jak piałował kłódkę. Na policji powiedział, że bał się przyznać żonie, że jest bez pracy. Dotąd nie karany, z czystą kartoteką. Pan W. o nie-

wodę dla 10 tysięcy mieszkańców. Typowa inwestycja komunizmu, jak mówi dyrektor „Latony”, dr Aleksy Banasiak. Tak jest to wszystko skonstruowane, że nie można pary pobierać częściowo. Jak staje „Morfeo”, staje również „Latona”, a ludzie nie mają w mieszkaniach ciepłej wody. Z góry widać założono, że „Morfeo” będzie wieczne.

– „Rozwiązaniem byłoby wydzielenie elektrociepłowni z zakładu i przejęcie jej przez zarząd miasta – mówi Zbigniew Lewandowski, przewodniczący Rady Miejskiej w Ozorkowie. Ale przecież jest to majątek państwowy, a miasta nie stać na taki wydatek. Ponadto elektrociepłownia wymaga, aby zainwestować w nią ponad 10 miliardów, których nie ma w kasie miejskiej”.

Jedynym wyjściem dla „Latony”, zatrudniającej 1150 osób jest szybko uniezależnić się od elektrociepłowni. Dyr. Banasiak chce kupić w RFN wytwornice pary, ale zainstalowanie tego urządzenia może potrwać nawet dwa miesiące. Czy „Morfeo” utrzyma się do tego czasu? A dla „Latony” dłuższy postój to wielkie niebezpieczeństwo, że nie dotrzyma się terminu zamówień zachodniego klienta. Taki klient pójdzie sobie wtedy w siną dal. Eksport na Zachód to 50 procent produkcji tego zakładu, który radzi sobie nieźle i w którym nie było jeszcze zwolnień grupowych.

Placz w „Morfeo”

Anna Ł. jest szwaczką w „Latonie”, gdzie szyje eleganckie bluzki z zagranicznych materiałów. Nie chodzi w tych bluzkach, bo są za drogę. Mąż pracuje w „Morfeo”. Razem zarabiają ponad dwa miliony – „Zawsze się narzekano na zarobki, ale dawniej, to chociaż umiałam się cieszyć jak brałam pensję. Dziś wszystko co zarobię idzie na czynsz i energię”. Naliczyła jej tego czynszu z odsetkami 750 tys. Anna Ł. od sierpnia mieszka na nowym osiedlu przy ul. Piłsudskiego. Jest winna spółdzielni półtora miliona za odsetki od kredytu. Ten dług nie pozwala jej odprężyć się nawet przy „Dynastii”. Jak mam go spłacić, kiedy mam dwóch kilkunastoletnich synów? Wiele jej koleżanek z zakładu wypisało się z „Solidarność”, a ona mówi: nie tak szybko... Choć nigdy jej się tak ciężko nie żyło jak teraz.

W bloku naprzeciwko, oddanym pod koniec kwietnia mieszka Bożena J., też pracuje w „Latonie”. Ma takie samo mieszkanie jak Anna Ł. To szczęście, na które czekała 12 lat ma 48 metrów kw. i kosztuje 780 tys. miesięcznie. Ona i mąż zarabiają przeciętnie po milionie. Starsza 13-letnia córka od miesiąca mieszka z babcią, bo inaczej nie starczyłoby na życie. Ojciec, który pomaga jej teraz w zagospodarowaniu się w nowym mieszkaniu („Co za szczęście, że przez lata kupowała sobie meble...”) w maju odszedł z „Morfeo” na emeryturę. Opowiada jaki był placz na tkalni automatycznej, gdy kobiety dostały wypowiedzenie.

Po wyroku?

W maju dyrekcja „Morfeo” była w Ministerstwie Przemysłu, szukając ratunku dla przedsiębiorstwa i miasta. Zastali urzędników zaferowanych fuzją Ministerstwa Przemysłu i handlu. Dyrektor departamentu, któremu na tym stołku palił się grunt pod nogami, nie miał im nic do powiedzenia poza tym, żeby radzili sobie sami. Bo w Polsce jest wiele takich miasteczek.

Na początku czerwca, czyli pięć minut po dwunastej w „Morfeo” powstał program radowania zakładu przed upadkiem, autorstwa Jerzego Sochy z Uniwersytetu Łódzkiego. Tymczasem „Morfeo” pada już od roku i to nie tylko na oczach kolejnych dwóch dyrektorów, ale i dwóch ministrów, którzy podobno w imieniu skarbu państwa sprawują nadzór nad tym zakładem.

Rząd zapowiada, że jeszcze w czerwcu ustali, które przedsiębiorstwa państwowe trzeba przeznaczyć do komercjalizacji, które do likwidacji, a które do naprawy. W Ozorkowie ludzie czują się już po wyroku.

Joanna Leszczyńska

Cdn. str. 6

6 czerwca 1991 roku obradował Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej. Dokonano oceny sytuacji społecznej i gospodarczej w regionie. Powołano Regionalny Komitet Strajkowy. 7 czerwca w „Gazecie Łódzkiej” ukazało się sprawozdanie Pawła Patory z tego posiedzenia, w którym znalazło się takie oto zdanie: „Jerzy Obrebski wyraził pogląd, że po cichu przygotowywany jest nowy stan wojenny”.

„Odgłosy”: – Na czym oparł pan taki pogląd?
– Wymaga to przedstawienia kontekstu, w jakim został wypowiedziany. Dokonałmy podczas posiedzenia Zarządu Regionu przeglądu sytuacji i stwierdziliśmy, że jest ona bardzo poważna: brak pieniędzy na płace, groźba zwolnienia grupowe, na które też zresztą brakuje pieniędzy, nie wiadomo, co mają z sobą zrobić ludzie zwalniani z pracy. Mamy całkowity regres.

– I to nie tylko w przemyśle włókienniczym.
– Słuchając tego, o czym mówiono, zabrakło mi głosu na końcu, bo chciałem przypomnieć, że podobnie było w 1981 roku, kiedy to doszło do wielkich napięć. Nie można dopuścić do powtórzenia się takiej sytuacji. Należy natychmiast rozładować atmosferę.

– Jak to zrobić?
– Wyjście jest proste. Musi się zmienić polityka rządu. Nie może przecież paść cały przemysł państwowy. Są zakłady, które można i należy utrzymać przy życiu, które będą zasilaly państwowy budżet. Nie można zarzywać kury, która znosi złote jajka.

– Jaka jest sytuacja w pana fabryce?
– Niezła. Ale na świadomość załogi wpływa sytuacja całego przemysłu. Ludzie mówią tak: padają inne fabryki, to może paść i nasza. Jeśli się człowiek boi o przyszłość, to nie może dobrze pracować. Mimo to mamy niezłe wyniki. Na Targach Poznańskich dostaliśmy złoty medal za szlifiernię, która odpowia-

Nie dopuścić do napięć!

Zarzynanie kury

Mówi JERZY OBREBSKI – przewodniczący KZ NSZZ „Solidarność” w Fabryce Szlifierek, członek Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej.

da światowym standardom. Udało się nam też zawrzeć dobry kontrakt w Iranie i stało się to podczas wojny w Zatoce Perskiej. Rząd Tadeusza Mazowieckiego obiecywał dobre warunki dla tych przedsiębiorstw, które zatrudniają się o nowoczesność. Ale tej obietnicy nie dotrzymał ani tamten rząd, ani nie czyni tego rząd obecny.

– A przecież miał to być rząd fachowców.
– Generalnie się z takim stwierdzeniem nie zgadzam. Dla mnie minister Michał Boni nie jest żadnym fachowcem. Nie zna potrzeb zakładów pracy, nie ma o nich żadnego rozważania. Nasza Komisja Zakładowa „Solidarności” wysłała wiele materiałów i uchwał do wielu ministerstw, żeby podpowiedzieć im, pokazać, co się w fabrykach dzieje. Powinni być nam za to wdzięczni. Myśli pani, że ktoś na to odpowiedział? Nie było żadnej reakcji. Już na tej podstawie można mniemać, że komuniści zależy na tym, aby przemysł upadł. Jakis miesiąc temu w Ministerstwie Przemysłu był kurs dla dyrektorów i przedstawicieli rad pracowniczych. Praktycznie nie było tam nikogo, z kim można byłoby rozmawiać o naszych sprawach. Odnosiło się wrażenie, że oni –

nieładnie mówią – przemysł olewają. Dawali odczuć, że przemysł państwowy musi upaść, bo nie jest wart. A przecież to jest nieprawda.

– Czy lekarstwem na to jest prywatyzacja?
– Życia nie można regulować ustawami. Niczego nie można robić na siłę. Trzeba słuchać, co ludzie mówią, czego chcą. Jeśli rząd tego nie wie, to musi zacząć z nimi rozmawiać. „Solidarność” tak właśnie postępuje, pyta załogę o zdanie. Gdy pojawia się zagrożenie, mówimy o tym ludziom i gdy rodzi się potrzeba protestu, pytamy załogę o jego formy.

– Wasza fabryka nie myślała o prywatyzacji?

– Mieliśmy taki zamiar w ubiegłym roku, miało to być przekształcenie bez udziału akcjonariuszy z zewnątrz. Nie starczyło pieniędzy. Teraz przeprowadziliśmy sondaż wśród załogi, pytając: – czego chcą? I proszę sobie wyobrazić, ludzie odpowiedzieli, iż nadal chcą, aby to była fabryka państwowa.

– Czego powinniśmy się obawiać?
– Konfrontacji. Polityka rządu wobec przemysłu państwowego nie jest do utrzymania na dłuższą metę. Ludzie są zmęczeni, zde-

terminowani, czują niebezpieczeństwo, więc się bronią na różne sposoby. Takie są między innymi przyczyny strajków w „Wifamie” czy w „Fonice”. Taki stan świadomości dotyczy całego społeczeństwa. I co się proponuje? Na wspomnianym kursie w Warszawie padło takie stwierdzenie: jak społeczeństwo rzeczy dobre bierze za złe, jak nie potrafi tego, co się robi zrozumieć, to są jeszcze inne środki, aby je do tego przekonać. Jeśli nastąpi chaos – a moim zdaniem zanoszą się na to – to użyje się siły. Przykład już mamy – Mława. Nie jestem przekonany, czy rolnicy wtedy mieli rację, ale zamiast z nimi do końca rozmawiać, użyto siły. I tym nadal w różny sposób się grozi. Mówi o tym sam pan prezydent. Wielu ludzi zatem uważa, że użycie siły może być skutecznym sposobem przekonywania wszystkich, kto ma rację. Tylko że myśły przeciw takiemu sposobowi działania skutecznie walczą.

– Czy tak musi się stać?
– Nie. Mimo wszystko jestem optymistą. Dlatego biorę udział w przygotowaniu łódzkiej akcji protestacyjnej. Takie ostrzeżenie powinno niektórym ludziom przywrócić zdrowy rozsądek, żeby mogli pójść po rozum do głowy, żeby nie wynikała kłótnia z rządem, bo nikomu nie jest potrzebna. Powszechnie wiadomo, czego fabrykom potrzeba: rozsądnego oprocentowania kredytów, racjonalnego systemu podatkowego, takiego samego dla wszystkich przedsiębiorstw. Gdy takie warunki powstaną, fabryki powinny ruszyć w ciągu 2-3 miesięcy i normalnie produkować. Jeśli później padną – na skutek normalnej, zdrowej konkurencji – to już z własnej winy. Ale nie na czyjeś niemądre życzenie.

Zanotowała:

Bogda Madej

Strajk w „Fonice” może być przełomowym dla sytuacji politycznej w Polsce i doprowadzić do kolejnego przesilenia politycznego.

Wszystko zależy od tego, czy uda się strajkującej załodze pociągnąć za sobą inne fabryki. Pierwsze formalne poparcie już uzyskano od pracowników: „Unimoru”, „Alby”, „Lodeksu”, „Wifamy”, „Telpodu”, Łódzkiej Wytwórni Termometrów, „Eltry”, „EMA Elestru”, Federacji „Metalowców”, Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych. Czyż nie są wysiłki, by do wspólnej akcji przyciągnąć następnych.

Nowość sytuacji w „Fonice” polega na tym, że sprawy płacowe praktycznie w ogóle nie odgrywają w niej roli. Dla robotników jest to właściwie kwestia poza dyskusją. Sprzeciwiają się natomiast kolejnemu w ich fabryce masowemu zwolnieniu z pracy i w tym leży największy problem dla obecnych władz. Prywatyzacja nałożona na kryzys ekonomiczny musi w każdej sytuacji prowadzić do redukcji zatrudnienia i wzrostu liczby bezrobotnych. Przez dłuższy czas udawało się zarówno ekipie Mazowieckiego jak i obecnej przekonywać robotników do takiego wyrzeczenia. Wydaje się, że w czerwcu 1991 roku kredyt zaufania jest na całkowitym wyczerpaniu.

Robotnicy „Foniki” doszli do wniosku, że dalsza taka polityka ekonomiczna rządu oznacza w praktyce jedno: władze chcą kosztami kryzysu obciążyć najbardziej potrzebujących. A na to robotnicy nigdy się nie godzili. Pamiętał o tym minister Kuroń, który w telewizyjnych pogadankach uspokajał „solidarnościowy” elektorat – najbardziej potrzebujących zawsze będziemy bronić. Polityka socjalna Kuronia doprowadziła nawet do przekonania, że w zasięgu dla bezrobotnych można bezpiecznie żyć.

Tym razem w „Fonice” wizję wysokich zasiłków socjalnych zdecydowanie odrzucono. Ludzie mimo marnych pensji, chcą przede wszystkim pracować i mieć zapewnienie dyrekcji, że dla ich fabryki odpowiednie zamówienia się znajdują. Jednak wobec zafamania się eksportu do Związku Radzieckiego, głównego odbiorcy

„Fonika” oskarża rząd

Zacisnięte pięści

produkcji „Foniki”, tego właśnie nie da się tu zagwarantować. W bieżącym roku zakład praktycznie nie ma co produkować. Według dyrektora, aby firma w ogóle przetrwała, należy pozostawić w niej 500 ludzi. A przed rokiem pracowało w niej 2,5 tysiąca osób!

Robotnicy nie zgadzają się na to, zarzucając złą pracę kierownictwu, które swą oszczędnością doprowadziło do tego, że nie ma zbytu na wyprodukowane przez nich towary. Strajkujący atakują przy tym generalnie całą politykę ekonomiczną rządu. „Upadek przedsiębiorstw na pewno nie jest drogą do Europy” – stwierdzają w jednym z postulatów pod adresem władz.

Rozwijają przy tym koncepcję, iż rząd powinien, mimo prowadzenia prywatyzacji „poczuć się właścicielem zakładów państwowych” i od tego zaczynać jakiejkolwiek dalsze zmiany gospodarcze. Sprawa zaprzestania w „Fonice” kolejnych zwolnień grupowych jest jakby zresztą tylko żądaniem minimum. Mimo głoszonej przez strajkujących determinacji wydaje się jednak, że władzom poprzez rezygnację z planu wyrzucenia na bruk 500 ludzi uda się ponownie zaprowadzić w tym przedsiębiorstwie spokój.

Jednakże to nie spowoduje zamknięcia sprawy. Wśród robotników „Foniki” następuje bowiem przewartościowanie dotychczasowych ich poglądów na sytuację polityczną w ogóle. Przez ostatnie dwa lata ulegali sugestiom, iż wreszcie rząd Polski jest ich rządem. Przedtem strajkowało się przeciwko komunizmowi, teraz więc jakby nie wypada strajkować przeciwko „własnemu” rządowi.

Analizując listę 13 żądań robotników „Foniki”, widać wyraźnie, że znaleźli mimowolnie właściwego adresata swoich postulatów. Jest nim polityka gospodarcza obecnych elit wła-

dy, a szerzej na to patrząc ich koncepcja polityczna w ogóle.

Podstawową kością niezgody wydaje się być prawo do pracy.

„Żądamy zagwarantowania pełnomiesięcznego czasu pracy dla wszystkich pracowników Łódzkich Zakładów Radiowych” – głosi postulat dwunasty i jest on zdaniem robotników wyraźnie zaadresowany do właściciela, czyli rządu. Pogodzone się więc jakby z tym, że własność społeczna wynaleziona przez socjalistów i komunistów jest koncepcją chybioną. – Kapitalizm oznacza, że każda rzecz ma swojego właściciela – zdają się mówić pracownicy „Foniki”. – Jednakże nie możemy się pogodzić z sytuacją, gdy rząd z odrazą patrzy na wielkoprzemysłową własność państwową rezygnuje z dbania o to, czego właśnie jest właścicielem...

Zarzucają więc rządowi złą gospodarność doprowadzającą do tego, że tracą pracę. Według robotników „Foniki”, większość upadłości i zwolnień grupowych nie jest wynikiem kosztów koniecznych jakże trzeba płacić przy przechodzeniu z socjalizmu do gospodarki rynkowej, lecz nieudolności ich własnych politycznych przedstawicieli. Oznacza to w praktyce dalszy spadek popularności ugrupowań post-solidarnościowych, o ile w porę nie wyciągną z obecnej sytuacji właściwych wniosków.

Federacja „Metalowców” należąca do OPZZ spróbowała obarczyć winą za krytyczny stan rzeczy prezydenta Rzeczypospolitej. – Robotnicy buntują się, gdyż są oszukani przez rząd, który Pan desygnował – piszą związkowcy w liście otwartym do L. Wałęsy przy okazji strajku w „Fonice”. – Oni zacisnęli pię-

ci. Czy chce Pan, aby ich użyli? Przeciwno Panu również!”

Argumentacja ta znajduje coraz więcej zwolenników, co w łódzkiej „Fonice” podczas strajku jest szczególnie widoczne. Otwartym pozostaje pytanie, kto przy takim rozwoju sytuacji zyska najbardziej – socjaldemokrata, czy partia X. Sądzić należy, że bardziej ta druga, dysponująca niekwestionowanym w swoim ruchu silnym liderem w postaci Stana Tymińskiego.

Najbardziej pesymistycznym i nieobliczalnym w skutkach scenariuszem będzie ten, gdy załozde łódzkiej „Foniki” uda się dotrzeć ze swoim tokiem rozumowania i uzyskać poparcie znacznej części robotników przemysłowych. Grozi to sparaliżowaniem latem tego roku części polskiej gospodarki i kolejnym przesileniem politycznym. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne ze względu na chwiejność postawy samych strajkujących.

Rzecz jednak w tym, że to co teraz może nie uda się robotnikom „Foniki”, może udać się komuś innemu. W podobny sposób co strajkujący w Łódzkich Zakładach Radiowych myśli pewnie znaczna część pracowników państwowego przemysłu. Czarne chmury nad teoretycznym polskim latem nie znikną tak łatwo, o ile Wałęsa z Bieleckim nie znajdą skutecznego antidotum na powstającą sytuację.

Sądzić należy, że ratunkiem jest silny i prężny sektor prywatny, który nie ma problemów z zapewnieniem pracy dla ludzi przez siebie zatrudnianych. Każdy ze strajkujących robotników „Foniki” zmieniłby natychmiast nastawienie do świata, gdyby wyluskany z tej wielkiej państwowej firmy znalazł się w przedsiębiorstwie prywatnym, w którym plajta mu nie grozi. Z drugiej jednak strony należy przyznać rację protestującym, gdy zarzucają rządowi, iż unika największego krajowego kapitalizmu traktując powierzoną sobie własność państwową po macoszu.

W tym też kontekście przebieg strajku w łódzkiej „Fonice” traktować należy jako czuły barometr tego, co się w Polsce wydarzy w najbliższych miesiącach.

Beata Kostrzewska

Do strajku okupacyjnego, na szczęście nie doszło. Mimo pełnego poparcia łódzkiego ZR, mimo pełnej jedynomyślności załogi, konflikt w „Wifamie” w minionym tygodniu zakończył się tylko dwugodzinny strajkiem ostrzegawczym. Chyba niezbyt potrzebny, bo w Łodzi siłę i determinację robotników wszyscy znają. W efekcie w środę 12 czerwca w godzinach 10-12 Kombinat Maszyn Włókienniczych po prostu stanął. Dla nikogo nie była to strata: robotnicy pokazali własną solidarność, dyrekcja zaś zbytnio nie narzekala: trzeba pamiętać, że praktycznie cały zakład nie pracował i większość załogi otrzymywała tylko „postojowe”.

Według wieloletnich już tradycji, przed strajkiem robotnicy „Wifamy” sporządzili listę postulatów do spełnienia – zewnętrznych i wewnętrznych. Tylko część z nich dyrekcja spełniła, dlatego uniknięto okupacyjnego, a ogłoszono ostrzegawczy. Lista życzeń zewnętrznych, to oczywiście powstrzymanie spadku stopy życiowej społeczeństwa, czyli to, co chcieliby wszyscy Polacy, przeniesienie obciążeń i kosztów wynikających z realizowanych reform z barków klasy robotniczej na ogół społeczeństwa, czyli postulat klasowy, oraz jako punkt ostatni wymieniono konieczność zapewnienia takich uregulowań

Czy Chińczycy pomogą „Wifamie”?

prawnych, które zapewnią prawidłowy przebieg prac przekształceniowych i jednocześnie ochronę interesów pracowniczych.

Dużo ciekawsze są postulaty wewnętrzzakładowe. Robotnicy z „Wifamy” skupieni w Związku Zawodowym Metalowców, NSZZ „Solidarność” oraz członkowie Związku Zawodowego Inżynierów i Techników, żądają natychmiastowych wypłat potrąconych z powodu majowego przestoju części swych wynagrodzeń (otrzymali równo po 800 tysięcy złotych, a chcą po 75 procent plac). Co tu ciekawe: w maju wygrała garstka najbardziej potrzebnych – 180 osób, dla których praca w tym miesiącu była, oraz wszyscy ci, którzy mieli pecha zachorować. Drugi z postulatów też jest wyłącznie natury finansowej: pracownicy chcieliby wzrostu plac o 70 procent, czyli z obecnej średniej 1 milion 200 tysięcy złotych na chociaż 2 miliony zł. Dyrekcja tu stwierdza jednoznacznie, że w tej kwestii może podjąć rozmowy po 10 lipca. Trzeci postulat, to także pieniądze: żądanie gwarancji wypłat nagród z zysku za miniony rok. I ostatnia prośba,

to konieczność pilnego przedstawienia załozde przez dyrekcję programu wyjścia z obecnej trudnej sytuacji ekonomicznej przedsiębiorstwa.

– Akcja protestacyjna trwa, choć oczywiście pracujemy – powiedział nam rzecznik prasowy Zakładowej Komisji Strajkowej, Mirosław Hochlinger. – „Solidarność” kombinatu ma oczywiście swój program wyjścia z kryzysu, ale go jeszcze nie ujawnia. Dyrekcja „Wifamy” także zgłosiła jakiś projekt ministerstwu i teraz oczekuje decyzji dotyczącej ewentualnych przekształceń własnościowych, najchętniej zgody na przekształcenie kombinatu w jednoosobową spółkę skarbu państwa. Załozde dyrekcja obiecała przekazać informację na ten temat po 17 czerwca.

Prawda o „Wifamie” jest taka, jak o większości polskich zakładów produkcyjnych: przestarzały, mocno zdekapitalizowany park maszynowy, ogromna wartość majątku, pomnożona na początku tego roku przy przeszacowaniu środków trwałych, co zrobiono z obawy, żeby Zachód za pół darmo nas nie wykupił, nieinteresująca oferta towarowa, przez to kłopoty z zebra-

nem zagranicznych zamówień. Z kolei możliwość sprzedaży produkowanych tu maszyn na rynku krajowym, w sytuacji obecnego regresu – zmniejszona praktycznie do zera.

„Ze względu na znaczne pogorszenie efektywności gospodarowania”, z dniem 9 maja br. bank wycofał się z kredytowania produkcji Kombinatu Maszyn Włókienniczych. Ten sam bank, który do tej złej efektywności przyłożył rękę wysoką stopą oprocentowania kredytów. Ale to zwykła zasada kapitalizmu: wykorzystać i zostawić.

Dyrekcji i załodze marzy się kupno „Wifamy” przez jakiegoś miliardera, albo choć funkcjonowanie kombinatu jako spółki skarbu państwa. Oczywiście pierwsze jest zupełnie nierealne. Drugie zaś... Przedsiębiorstw z podobnymi problemami w kraju jest tysiące, dlaczego więc akurat „Wifama”? Chociaż dyrekcja uważa, że rozmowy „w tym temacie” są daleko zaawansowane.

W minionym tygodniu, w piątek, w „Wifamie” gościła delegacja Chińczyków. Czyżby Kraj Środk miał ochotę na współpracę z łódzkim kombinatem? Czy też może – jako producent doskonałych, wysoko wydajnych maszyn włókienniczych i potentat światowego przemysłu włókienniczego, wystąpił, by podejrzeli upadłą konkurencję?

J. Machejek

Nie można tworzyć innej wersji historii na wywóz, a innej na recenzję domową

Cd. ze str. 4

działem się o nim będąc w Polsce i być może ma Pani rację, że nie jest to właściwy tytuł dla tego serialu. To, co jest niedobre to fakt, że wygłasza opinie także ludzie, którzy filmu nie widzieli. Ja nie odbieram ludziom prawa do ich własnego odbioru, jak im się nie podoba, to trudno, to też dobrze, że obejrżeli. Natomiast było coś w tym sztucznym skandalu innego i ja się nie po raz pierwszy z tym spotykam. Niestety spotykałem się z tym za komuny. Podczas realizacji w 1976 r. filmu „Trzy dni w Szczecinie” (dla TV Granada) był też protest oficjalny, że obrażam I sekretarza Gierka.

In »Solidarity«

– Dużo komentarzy wywołały zarówno w polskiej, jak i angielskiej prasie fragmenty filmu dotyczące antysemityzmu. Na jaką skalę występuje w Polsce antysemityzm? Czy jest to poważny problem społeczny, czy problem marginalny?

– To nieprawda, jeśli chodzi o prasę angielską. Mam mnóstwo wycinków z prasy i dosłownie 2 czy 3 razy został ten temat wspomniany w „Jewish Chronicle” i chyba w „Daily Mail”, ale mówiono o czymś innym, o trudnościach w budowaniu demokracji i o głównych postaciach filmu. Ja nie zamierzałem w tym filmie poruszać tematu antysemityzmu, ten temat nasunął mi się sam i byłoby nierzetelne, nieuczciwie unikanie go. Ta scena w 3 odcinku, gdzie fotografujemy wybuch tego ulicznego antysemityzmu, to jest scena nagrana przypadkiem. Szliśmy za pochodem rolników wyrzucanych z Ministerstwa Rolnictwa, pod pomnikiem Witosa był wiec i tam rozegrał się ten seans. W odcinku 4 ekipa poszła filmować wiec Wałęsę w Nowej Hucie i też natrafiła na antysemickie krzyki. Jestem przekonany, że ten ogon antysemicki, który obóz Wałęsę ze sobą ciągnął, nie jest świadomie, odegrał rolę w wyniku wyborów, oczywiście nie decydując, ale jednak. Wałęsa to rozbudził, i to jest mój pogląd, którego w filmie nie wyrażam. Ukazuję tylko fenomen tego ulicznego antysemityzmu bez komentarza. Mój punkt widzenia jest taki, że polski antysemityzm przede wszystkim szkodzi Polakom, a nie Żydom. Ta drobna społeczność żydowska wcale nie jest przesładowana w Polsce. Natomiast jest to najgorszy wyraz polskiej głupoty. Ja nie mówię, że wszyscy Polacy są głupi, proszę tego tak nie odbierać. Są i mądrzy, i głupi. Ale ten prymitywny pogląd o konspiracji przeciwko Polakom prowadzonej przez Żydotów, bo do tego się to w końcu sprowadza, należy tępić, to jest haniebnie głupie i bardzo szkodliwe.

– Czym różni się antysemityzm w Polsce od podobnych zjawisk w innych państwach np. Francji czy Austrii?

– Nie różni się w sensie pejoratywnym. Może nawet polski antysemityzm jest mniej gwałtowny w swoim wyrazie psychicznym tylko, że ja jestem Polakiem i robię film o Polsce. Gdybym robił film o Niemczech i o niemieckim antysemityzmie, to na pewno nie byłbym dla nich łagodniejszy.

– Andrzej Szczępiński jakiś czas temu po swoim powrocie z Wiednia powiedział, że zauważył tam dużo więcej napisów antysemickich niż w Warszawie. Dlaczego więc tak bardzo ten problem jest podnoszony w prasie polskiej i nie tylko. Powiedział Pan, że obóz Wałęsę świadomie go rozdmuchiwał.

– Nie myślę, żeby Lech Wałęsa był antysemitą. Są dowody na to, że nie jest. Myślę, że on jest sprytnym, trochę łobuzerskim politykiem, który zdawał sobie sprawę, że ten ogon za nim idzie i nigdy się od niego nie odzegał, wprost przeciwnie, podkreślając, że jest Polakiem czystej krwi, a nie mówiąc o tym, że Mazowiecki wcale nie jest Żydem, chociaż mu to dopisywano, zgadzał się w gruncie rzeczy na to. Lech Wałęsa często mówi rzeczy nieprzemyślane, z których się potem wycofuje, tak też było ze sprawą pochodzenia. Powtarzam, że nie uważam go za antysemitę, ale myślę, że to jest dosyć wstydlivy rys jego całej kampanii.

– Film jest tego rodzaju sztuką, że każdego człowieka nawet Jana Pawła II można sfilmować w taki sposób, że będzie wyglądał śmiesznie, a zmontować, że jeszcze śmieszniej czy wręcz karykaturalnie. Czy wobec L. Wałęsę świadomie zastosował Pan pewne zabiegi profesjonalne?

– Nie, był tylko jeden zabieg techniczny. Na Zjeździe „Solidarności” L. Wałęsę, niby słuchając przemówień do niego wygłaszanych, rozwiązywał krzyżówkę. Ja sam zaglądałem mu przez ramię. Prosiłem operatora, aby to sfilmował, ale zrobił to tak, że nie dało się zmontować. Wobec tego wzięliśmy inne ujęcie L. Wałęsę rozwiązyującego krzyżówkę, ze Stoczni, ale był on w innej marynarce i sprytni koledzy mi to wyciągnęli, jakkolwiek był tylko przez ułamek sekundy na ekranie. Inaczej nie mogliśmy postąpić, a najważniejszy był fakt, że on tę krzyżówkę rozwiązywał. Ja wiem, że Pani chodzi o co innego. Na to nie ma rady i właśnie dlatego trzeba być sobą, mówić swoim głosem. Jeżeli ktoś by sfilmował Jana Pawła II bez należytego szacunku, to należałoby nie brać tego materiału, a po prostu wyrzucić. Oczywiście, że tego rodzaju niebezpieczeństwa istnieją, ale należy rozumieć to medium, rozumieć, co jest jego siłą i w jaki sposób się nim operuje.

– Na konferencji prasowej powiedział Pan, że mimo to, iż jest Pan zwolennikiem T. Mazowieckiego, jest Pan zafascynowany Lechem Wałęsą...

– Jest to człowiek niesłychanie silny. Myślę, że jest jednocześnie bardzo kapryśny i zmieniający się jak kameleon. Jest – powiem brzydkie słowo – nieokrzesany, jest dumny, że nie jest erudyta, nie jest czytany, nie ukończył szkół. Wyraża to z niesłychaną arogancją. Jest to również człowiek ze sporym poczuciem humoru. Człowiek, który albo lubi, albo nie znosi ludzi i widać to od razu, to się rozgrywa na jego twarzy. Myślę, że jest to człowiek dosyć zimny w stosunkach międzyludzkich, a jednocześnie fascynujący poprzez swoją różnorodność. Moje pretensje do niego są pretensjami czysto politycznymi. Nie mam do niego żadnej antypatii, wręcz

przeciwnie. Wiele rzeczy w nim jest pociągających.

– Nazwał go Pan przykładem chłopskiego pragmatyka, który uważa, że na wszystko jest sposób.

– Tak i to jest też mój niepokój. Czego ja się boję w Wałęsę? Jesteśmy w sytuacji, kiedy trzeba tworzyć zrebry lađu demokratycznego bez pewności, że naród tego chce, że rozumie, co to oznacza. I oto na czele państwa staje człowiek, który też się tego musi nauczyć. Mazowiecki nie musi się tego uczyć. Wałęsa jest oryginałem, jest człowiekiem, który się taki urodził ze swoim talentem politycznym i który właściwie pozostał nieoszlifowany. Wałęsa nie ma, moim zdaniem, ani teoretycznej, ani nieteoretycznej wizji Polski, nie jest ideologiem. U Wałęsę polityka jest właściwie dziedziczną taktyką. To, co jest jego drogowskazem, to jego niewątpliwym patriotyzm: on chce dobrze dla Polski. Obawiam się, że to trochę za mało. A poza tym to człowiek o niesłychanej sile, który ze względów praktycznych tworzy mit nieomyślności, mit człowieka, który nigdy nie przegrywa. Poznałem wielu ludzi, których to fascynuje – siła Wałęsę – i idą nie za programem, ale właśnie za nim. Myślę, że w tej sytuacji, w której Polska się znajduje, jest to niebezpieczne.

– Popatrzmy jednak z drugiej strony. Czy tak głęboki kryzys w Polsce nie wymaga, aby na czele stanął człowiek dynamiczny, żywiołowy, który będzie przekazywał ludziom swoją energię, a nie zrównoważony, introwertyczny, powolny T. Mazowiecki, o którym Wałęsa zażartował, że pchły nie złapie...

– Wydaje mi się, że sytuacja wymaga, żeby nie eliminować ani jednego, ani drugiego. Dla mnie najbardziej interesujący byłby układ, który nigdy nie zaistnieje, by Wałęsą był premierem, a Mazowiecki prezydentem.

– Gdyby w tej chwili mógł Pan realizować następny film dokumentalny w Polsce, jaki aspekt polskiej rzeczywistości zainteresowałby Pana?

– Jest parę tematów. Można by zrobić film np. o roli opozycji podczas tworzenia polskiej demokracji. Jest teraz taki paradoks w Polsce, że Mazowiecki i Unia Demokratyczna stają się koniecznym elementem systemu demokratycznego, bo musi być opozycja. Szczególnie w takiej sytuacji nie określonej konstytucjonalnie musi być silna opozycja, żeby proces demokratyczny funkcjonował. Paradoks polega na tym, że opozycja popiera rząd, stara się być odpowiedzialna, podczas gdy ludzie, którzy doprowadzili Bieleckiego i ten rząd do władzy, atakują. W Polsce wciąż orientowanie się według kategorii społeczeństwa stabilnego jest bardzo trudne. Myślę, że to się kiedyś zmieni i może by można zrobić film na ten temat. Można by zrobić trudny, ale i interesujący film o tym, jak mówi jeden z moich przyjaciół Neal Ascherson, że Polska jest jak Europa w zwierciadle – wszystko tam jest takie samo, tylko że dokładnie odwrotnie.

– Dla Rosjan jesteśmy Paryżem, dla ludzi z Zachodu Moskwą.

– Jesteśmy nieustająco krajem przejściowym i tego nie można z nas wymazać. Trzeba zrobić z tego naszą siłę. Jesteśmy w prawie 100 proc. jednonarodowi, katolicy, a to przepołowienie w naszej psychice wciąż istnieje i będzie chyba istniało.

– Czy jest Pan bezpośrednio zaangażowany politycznie?

– Stałem się jednym z członków – założycieli ROAD-u i było to wyzwanie rzucone moim kolegom – dziennikarzom w Polsce. Spotykałem się z takim zdaniem, że dziennikarz czy człowiek, który pracuje w mass mediach nie powinien się angażować politycznie. Otóż ja w to nie wierzę. To tak jak już wspominałem. Zaangażowanie nie zdejmuje obowiązku rzetelności. Dziennikarze też są ludźmi, którzy mają własne poglądy i nie powinni ich ukrywać.

– Czy w BBC również?

– Oczywiście. Jeden z najsłynniejszych news casterów, czyli prezenterów dzienników, był doradcą Margaret Thatcher i dostał za to tytuł Rycerza.

– ...i czy w dalszym ciągu czyta wiadomości, czy odszedł z nią?

– Jest w dalszym ciągu. Natomiast, jak czyta wiadomości, to czyta je bezstronnie. Kamieniem węgielnym wolnego dziennikarstwa jest rozdzielanie faktów i komentarzy, co w Polsce z wielkim trudem przychodzi.

– Dziękuję za rozmowę.

* * *

Bolesław Sulik od 1946 roku mieszkał za granicą – w połowie maja tego roku powrócił na stałe do Polski.

Rozmawiała: Mariola Kudelska

Cd. ze str. 1

bez obawy do celi, gdzie nie siedzą przecież baranki, tylko więźniowie o tzw. trudnym charakterze, z wyraźnymi anomaliami psychicznymi. Niektórzy mówią nawet:

– *Odważna jest pani, pani Zuzo!*

Za plecami nazywają ją oczywiście klawiszem, podobnie jak innych pracowników więzienia, niezależnie od tego, czy chodzi o cywilnych ubraniach (naczelnicy, wychowawcy), czy w mundurach strażników i uzbrojeni.

Formalnie pani porucznik odpowiada za bibliotekę, liczącą 13 000 tomów i radioaparaty, który nadaje własne audycje, ale organizuje dla swoich podopiecznych także inne zajęcia, które mają im złagodzić dolegliwość izolacji. Od dwóch mniej więcej lat nastąpiło rozluźnienie więziennych rygorów: skazani mogą mieć w celach własne telewizory i radioaparaty, wideo, magnetofony, książki. Do porannej toalety używają własnych maszynek do golenia. Wolno im używać noży, które tylko na noc znajdują się poza celą.

Ale też w warunkach więziennych najdrobniejsze z pozoru sprawy urastają do rangi problemu: a to skazani prosili o piłeczkę pingpongową, to o wymianę zepsutego magnetofonu na sprawny, to o nowy telewizor, bo ktoś wymontował ze starego głośnik, żeby sobie skonstruować kolumny.

Piłeczki pani porucznik kupuje najczęściej za własne pieniądze: w tym roku praktycznie nie ma środków ani na uzupełnienie księgozbioru, ani nawet na sprowadzenie papieru do rysowania, akwarel. Wysechł też fundusz pomocy postpenitencjarnej: na szczęście zakład otrzymał niedawno ciężarówkę używanej odzieży od Kościoła, można wspomóc więźniów wychodzących na wolność.

Kiedy otwieramy po kolei cele i wchodzimy do środka, starzy bywalcy peerelowskich więzień, wskazując na ściany obwieszane porozbieranymi panienkami z kalendarzy i kolorowych czasopism, mówią niekiedy:

W więzieniu na Kraszewskiego żyje się jak w hotelu

Kryminał z wideo

– *To ma być kryminał? Żyje się tu jak w hotelu i nie trzeba chodzić do pracy.*

Praca, z braku możliwości zatrudnienia, stała się upragnionym dobrem: nie tylko pozwala na zdobycie własnych środków materialnych, ale także skraca czas odsiadki. Więźniowie próbują więc znaleźć zajęcie we własnym zakresie: robią półki na przybory toaletowe, tkają gobeliny, szyją maskotki. Kiedy wyjdą na przepustkę (za dobre sprawowanie można znaleźć się na krótko na swobodzie) to wyroby trafiają na bazar, zasilając kieszeń skazanego. Jeśli nie ma rodziny albo kumpli, pozwoli mu to poczuć się na chwilę panem, poderwać panienkę, pójść do restauracji. Jeden z więźniów nie ma nikogo: po odbyciu kary natychmiast popełnia przestępstwo, aby znaleźć się ponownie w zakładzie, który stał mu się jedynym domem. Można się spodziewać, że teraz będzie więcej takich ludzi, bo te trzysta tysięcy, które mogą otrzymać z funduszu opieki postpenitencjarnej, nie pozwoli im się długo utrzymać na powierzchni przy braku perspektywy zdobycia pracy i dachu nad głową. Te regulaminowe swobody i rozluźnienie rygorów zaprawione są więc także gorczyką.

Piętą wyżej znajduje się oddział kobiety: cele są tu starannie wysprzątane, ale gorzej wyposażone, bo stanowią tylko tymczasową przystań: przeciwko ich lokatorkom toczy się śledztwo.



Kiedy zapadną wyroki, pojedą do Grudziądza albo do innego z trzech zakładów karnych dla kobiet. Nowy regulamin zezwala im na posiadanie przyborów toaletowych, pachnidła i szminek, korzystają więc ze swych uprawnień czasem ponad miarę, ale ich uroda nie znajduje uznania płci odmiennej ze względu na brak kontaktu i ścisłą izolację: pomimo zasady domniemania niewinności aż do wyroku są w gruncie rzeczy w trudniejszej sytuacji od więźniarek osadzonych, korzystających z większych swobód. Te kobiety nie przyzwyczyły się jeszcze do izolacji, są bardziej zważone i mniej rozmowne od mężczyzn, przytłoczone sytuacją. Tylko niektóre radzą sobie nawet w tych warunkach, potrafią nawiązać optyczną łączność z oddziałem męskim przy pomocy lusterek wysuniętego za kratę. Niedawno taki kontakt zaowocował nawet ślubem, którego udzielił urzędnik stanu cywilnego w gabinecie naczelnika. Po uroczystości świeżo poślubiona małżonka, skazana na dziesięć lat pozbawienia wolności, została przetransportowana do innego więzienia, jej oblubienie, z równie długim wyrokiem, pozostał w Łodzi. Obecnie sżykuje się kolejny ślub: dziewczyna spod Łęczycy, niedawno przywieziona na ul. Kraszewskiego, spotkała w zakładzie swego dawnego narzeczonego. Mówi teraz, że na jego widok odżyła w niej miłość, wystąpiła do naczelnika o zgodę na zawarcie związku małżeńskiego. Kobiety, które znajdują się na wolności, potrafią czekać na swoich partnerów za kratami, mężczyźni rzadziej dochodzą wierności, mniej skłonni są do wyrzeczcia. Tak twierdzi pani porucznik, która miała okazję obserwować te mechanizmy.

Na najwyższym piętrze znajduje się oddział więźniów zakażonych wirusem HIV. Pierwsi skazani trafili tu w sierpniu ubiegłego roku. Były to najczęściej ofiary strasznego naloгу narkotycznego, które weszły na drogę przestępstwa, aby zdobyć upragnioną używkę. Około listopada na oddział ten trafili recydywiści, którzy świadomie zastrzyknęli sobie HIV, aby uzyskać jakieś dodatkowe przywileje. 23 grudnia recydywiści podnie-

śli bunt, żądając dostarczenia leków odurzających. Trzeba było użyć siły, istniało także bezpośrednie zagrożenie życia funkcjonariuszy, gdy w dłoniach tych starych wyg więziennych pojawiły się strzykawki napełnione skażoną krwią. Bunt został opanowany, ale trzeba było wprowadzić rygor. W okna wprawiono przezroczyste płyty z metalopleksi, które nie dają się potłuc, w celach pojawiły się osłony z żelaznych prętów, które chronią funkcjonariuszy przed bezpośrednim atakiem. Te środki zabezpieczające wywołują wściekłość więźniów: przy ogólnych, niemal wolnościowych warunkach panujących w zakładzie, dodatkowe kraty zapewne drażnią, upodabniają celę do klatki. Skazani czuli się długo dodatkowo pokrzywdzeni, gdyż mimo wysiłków administracji więzienniczej, żaden z księży nie chciał się zdecydować na pracę z zakażonymi. Ten małoduszny brak posługi kapłańskiej, z której mogłyby korzystać inne oddziały, pogłębiał jeszcze rozgorzenie skazanych. Na szczęście przed miesiącem zgłosił się ksiądz Jacek, zakonnik, który podjął się opieki duchowej nad HIV-owcami. Niektórzy bardzo to sobie chwala: spowiednik podarował im kalkomanie z wizerunkiem Jana Pawła II, którą przyklejono do tapety w miniaturowej świetlicy. Co prawda mogą z niej korzystać tylko ci więźniowie, którzy nie brali udziału w buncie i dlatego zachowali swobodę poruszania się po oddziale. Ujawniła się przy tym zaskakująca prawidłowość: dopóki nie było duchowego, więźniowie domagali się jego obecności. Teraz okazało się, że niezbyt wielu chce korzystać z jego pomocy.

Więzienną kantinę prowadzi pani Monika Kierzkowska, do niedawna kostiumolog w zespołach filmowych: ponieważ w kinematografii nastąpił zastój, musiała się przebrzmować, czekając na lepsze czasy. W kantinie obowiązuje obrót bezgotówkowy: do połowy miesiąca stosuje się tak zwana mała wypiska, w drugiej połowie mogą poszaleć: kupują papierosy, bezalkoholowe piwo, napoje chłodzące, przede wszystkim zaś żywność. Największe zakupy nie przekraczają kwoty 100.000 zł., choć w zasadzie zostały zniesione limity obowiązujące w poprzednim regulaminie, które pozwalały nabyć w kantinie najwyżej 20 paczek papierosów i 20 dkg herbaty. W tym sklepiu połączonym z kawiarenką znajduje wyraz pozycja majątkowa skazanych. Jak w świecie zewnętrznym nie ma tu równości, niezależnie od zasług lub przewin, bogatszy jest górą. To samo zjawisko daje się także zaobserwować w celach: tylko nieliczni stać na własne wideo, nie wszyscy mogą sobie pozwolić na telewizor do własnego użytku. I choć nikt tu nie słyszał o sosie kaparowym (kiedy zwiedzałem więzienie na obiad był krupnik oraz kotlet mielony z surówką podane do celi na metalowych talerzach), to jednak słowo „fiancière”, już bez tego gastronomicznego przydatku „à la” ma tutaj swoją magiczną wymowę.

Nie jesteśmy równi nawet w nieszczęściu, także w sytuacji krańcowej liczy się stan portfela. Choć oczywiście wszystkiego kupić nie można: wolność ma swoją autonomiczną wartość.

Konrad Frejdllich

Wychowawcy – niepewni jutra – dokonali zrzutki na jedzenie

Dyrektor Państwowego Domu Dziecka o optymistycznej nazwie „Słoneczna Polana”, mgr Jacek Maślankowski bez użycia kalkulatora prostym odejmowaniem mógł obliczyć, że na zapewnienie wiktów, opierunku i wszelkich innych kosztów utrzymania swoim 30 wychowankom otrzymuje 5,5 mln zł. (słownie: pięć i pół miliona zł). W preliminarzu stała bowiem jak byk cyfra 32,5 mln zł., wyliczona i przyznana przez Kuratorium na tzw. „sferę pozapłacową” z wyszczególnieniem kwoty 27,5 mln zł, która – zgodnie z zaszeregowaniem ma być wykorzystana na remonty placówki.

Apokaliptyczna omyłka

Na niesławnie słynnym zebraniu dyrektorów łódzkich placówek oświatowo-wychowawczych, zwołanym przez Kuratorium w dniu 29 kwietnia, nie tylko jednemu dyr. Maślankowskiemu pociemniało z wrażenia przed oczami. Kwoty na pozostałych preliminarzach, wyliczonych dla innych domów dziecka, młodzieżowych ośrodków wychowawczych przedstawiały się podobnie. Pisma, uwierzytelnione jak należy podpisanymi i pieczętkami, zostały wręczone wszystkim dyrektorom na wstępie zebrania, zaś w kontekście wygłoszonych przez kuratorów przemówień o fatalnej sytuacji finansów w oświacie, z powodu której powstała konieczność dociskania i tak już docisniętego pasa potrzeb, jak również potrzeba dokonania kolejnych, brutalnych cięć w budżetach – stwarzały apokaliptyczny obraz przyszłości.

Alisi okazało się, że ktoś tam w księgowości popełnił błąd przy wyliczeniach, na który wicekurator, choć parafował pisma podpisem, nie zwrócił uwagi. Pisma więc zostały uznane za nieważne, zabrane dyrektorom, a obietnica korekty, już bez tak apokaliptycznych omyłek, złożona.

Tylko że kolejny dzień był ostatnim dniem miesiąca, po którym następowały obficie zmasowane święta pierwszomajowe. Bank po prostu zdążył zablokować i tak debetowe konta placówek. Dyr. Maślankowski mówi, że jego dzieci jednak nie głodowały. Na szczęście w magazynie były pewne zapasy żywności, a w Kasie Opiekuńczej schomikowane na czarną godzinę oszczędności. Mgr Hanna Mikulska, dyrektorka Domu Dziecka im. J. Krasińskiego powiada z kolei, że u niej ofiarą bloku padł niezaplansowane jeden z czterech tuczonych w chlewni ośrodka warchlaków, którego się zjadło podczas długich świąt, uzupełniając menu zapasami żywności z magazynów; a i w przeddzień bloku kasjerka akurat była w banku i podjęła pewien grosz. W Państwowym Ośrodku Wychowawczym im. M. Grzegorzewskiej u dyr. mgr. Jerzego Kuczy było nieco gorzej: mimo magazynowych zapasów, niewielkich zasobów w kasie, wychowawcy – niepewni jutra – dokonali zrzutki na żywienie potrzebne ośrodku. Były jednak i takie domy, gdzie bieżące potrzeby nie pozwoliły dyrektorom na przyszczędzenie pieniędzy ani na zbyt obfite zapasy magazynowe, i wszędzie tam sytuacja stała się na tyle dramatyczna, iż „na życie” wychowanków zrzucali swoje dopiero co otrzymane pensje wychowawcy. Nikt przecież nie wiedział, jak długo potrwa blokada kont i kiedy napłyną pieniądze.

Dyr. Kucza mówi co prawda, że Kuratorium w tych dramatycznych okolicznościach zachowało się ładnie, bo już we wtorek, czyli 31 kwietnia powręcało wprost do ręki, z ominięciem banku, po całym milionie „chwilkówek”. Inni dyrektorzy nie mają jednak aż tak dobrego zdania o zwierzchnikach oświatowych. Są tacy, którzy wręcz twierdzą, że jeszcze 2 maja, a więc w czwartek, nie było z kim w Kuratorium rozmawiać na ten, bądź co bądź, podstawowy temat: za co żywić dzieci?

Zapowiedziana korekta budżetów nastąpiła. Wszystkie placówki otrzymały nowo opracowane preliminaria. Konta w banku, chociaż wciąż na debecie, wypłacać zaczęły domom dziecka wyłącznie na żywienie.

W połowie maja Łódzkie Wiadomości Dnia opublikowały oświadczenie Kuratorium, że podbramkowa sytuacja z pierwszych dni maja została opanowana, przyznano podstawowe fundusze i domy opiekuńcze mają się obecnie całkiem dobrze.

W tym dniu, mówi dyr. Mikulska, na koncie nie miałam ani złotówki.

Mają się dobrze, ach, jak przyjemnie

tylko że tak naprawdę, to nieprawda. Na Dzień Dziecka, 1 czerwca, dyr. Mikulska miała i owszem na swoim koncie 45 mln zł. Przy stawce żywieniowej 11 tys. zł na 1 dziecko dziennie akurat starczy jej ta kwota na dwa miesiące „życia” i na nic więcej. Dyr. Maślankowski otrzymał na konto 31,5 mln zł, co mu też zabezpiecza wyłącznie „życie” do końca czerwca. Dyrektorka Domu Dziecka przy Marysińskiej, mgr Jankowska, z którą rozmawiałam tylko telefonicznie, też potwierdziła regułę: wyłącznie na „życie”.

Ale, oczywiście, nowe preliminaria z rozpiską budżetów po obiecanej korekcie były. „Słoneczna Polana” otrzymała do końca roku 1991 na tzw. „sferę pozapłacową” tyle: 27 mln na remonty oraz 75 mln zł na INNE. Przy czym trzeba zaznaczyć, że to są kwoty zabezpieczone, jak na razie, wyłącznie na papierze. Namacalną kwotą jest tylko 31,5 mln na koncie.

Aż 75 mln! Byłoby można poszaleć, gdyby pod owym INNE nie kryło się WSZYSTKO. A więc właśnie: żywienie dzieci do końca 1991 oraz odzież, usługi, kieszonkowe, przybory szkolne, środki czystości, leki, wywóz śmieci, opał, opłaty za przedszkole, gaz, energię elektryczną, telefon, ścieki i reszta.

Dyr. Maślankowski potrzebuje na „życie” dla swoich 30 wychowanków miesięcznie 10 mln zł. Do końca pozostało jeszcze siedem miesięcy. Rachu-

nek jest wyjątkowo prosty: 75 mln na INNE minus 70 mln na żywienie. Za pozostałe pięć milionów złotych do końca 1991 domu się nie utrzyma.

Dyr. Mikulskiej rozpisano INNE kwotą 160 mln. Dyr. Mikulska, chociaż hoduje świnię, sady ziemniaki, warzywa, ma ogród owocowy, potrzebuje około 22 mln miesięcznie na gołe „życie” swoich 64 dzieci. Rachunek w przypadku dyr. Mikulskiej jest też szalenie prosty. Tak prosty, że aż dech z wzięcia zatyka.

Dyr. Kucza mówi, że w tych skorygowanych już budżetach też popełniono błąd. Dyr. Kuczy przyznano na szkołę z warsztatami 37 mln, a on potrzebuje przy zastosowaniu absolutnego reżimu oszczędnościowego 110. Na 60 dziewcząt w internacie dostał na INNE 150 mln. Żeby utrzymać ośrodek, musi mieć bezwzględnie miliard.

Tyle samo zresztą, miliard przy wszelkim reżimie, potrzebuje dyr. Mikulska. Brakuje jej „zaledwie” 840 mln zł. Dyr. Maślankowski wylicza w piśmie do Kuratorium, że jego dom nie wytrzyma bez dodatkowych 187 mln zł.

Dyrektorzy od kwietnia nie płacą rachunków za telefony, wywóz śmieci, ścieki, energię, gaz. Nie płacą, bo nie mają z czego. Dyr. Mikulska za elektrownię zalega już 20 mln zł. Dyr. Kucza rozkłada beznadziejnie ręce: co będzie dalej? Nie wiem. Albo nam odetną światło, albo Kuratorium zapłaci.

lanie” i poza kątem do spania oraz jedzeniem posiadają jeszcze inne ludzkie potrzeby. A jeśli nie, to należy w nich te potrzeby obudzić. Dać poza jedzeniem trochę radości. Przywrócić poczucie normalności poprzez taką gumę do żucia, którą by sobie mogli kupić jak inni normalni koledzy z budy za swoje własne kieszonkowe. Ale nie ma na kieszonkowe. Od dwóch miesięcy nie ma i ani dyr. Maślankowski, ani dyr. Mikulska, ani dyr. Kucza nie wypłacają.

Opłata za przedszkola

dla społecznych sierot będzie pełna. Żadnych ulg, wszystkim „po równo”. Już teraz dyrektorzy zalegają z opłatami za swoich przedszkolaków. Dyr. Mikulska nie zapłaciła za jedenaścioro dzieci, dyr. Maślankowski za czworo.

Czy w nowym roku szkolnym sześciolatki z domów dziecka będą uczyły się w przedszkolnych zerówkach? A kto je przyjmie, które przedszkole, skoro dyrektorzy nie mają czym płacić?

Tylko dyr. Kucza może odetchnąć z ulgą – jego Ośrodek Wychowawczy jest wyłącznie dla starszych dziewcząt. Od 13-letnich do przerosniętych 17-18 latek, których jest najwięcej. Nawet otrzymuje wyższą o 2 tys. stawkę żywieniową. Dzięki temu od czasu do czasu z tej stawki cichcem coś przyszczędzi na inne cele. Na przykład opłaca bilety do Poznania

Komu dziecięce Bóg zapłać?



Fot. M. Markowski

Sytuacja Kuratorium jest nie do pozazdroszczenia

Kuratorium spełnia wyłącznie rolę pośrednika i rozdzielnika budżetu, otrzymywanego z „góry”. Kuratorium nie posiada zaczarowanego stolika, który mógłby się na zawołanie nakryć i sypanąć żywnością. Kuratorium z radością dałoby tyle, ile trzeba, ale nie ma. Katastrofalna sytuacja finansowa w oświacie dotyczy nie tylko Łodzi: przecież planowany na 50 bilionów budżet oświaty na 1991 rok został „ścięty” o 20 bilionów. Trudno oczekiwać cudu, z pustego się nie należy. Stąd Kuratorium popełniło ten kolejny, lecz już niezawiniony błąd, skroilo nowe po korekcie budżety obniżając mniej więcej realistycznie to, co ewentualnie dostanie od „góry”. A że te budżety nie zapewniają niczego, poza żywnością? Cóż. Z głodu wychowankowie domów dziecka nie pomierają, tyle im na razie może zapewnić państwo.

Czarne chmury

gromadzą się nie tylko nad „Słoneczną Polaną”. Dyr. Maślankowski bardzo obawia się jutrzejszego dnia. Dyr. Maślankowski miał i tak dużo szczęścia, ponieważ „Dandys” z Traktorowej i „Contexim” obdarowały jego dom kwotą 50 mln zł na remont. „Słoneczna Polana” ma więc czyste ściany. I ta czystość bije po oczach jako jedyny luksus. Poza tym pełne ubóstwo, meble po sypialniach liczą po dwadzieścia lat i więcej. Nawet w normalnym domu normalnej rodziny dwudziestokilkuletnie tapczany wykazują skłonność do naturalnej rozsypanki. Tutaj konserwator często nie ma już co do czego przybić, żeby się choć jeszcze przez jakiś czas trzymało. Ostatecznie jednak dzieci, społeczne sieroty, utrzymywane na garnuszku państwa, mogą sobie spać i na podłodze. Podobno „lepiej jest być niż mieć”. A one aż tyle mają! I żywienie do końca roku, i opiekę pedagogów, no i te tapczany pozbijane gwoździami też mają.

Mają też swoje tragiczne zyciorysy. Dzieci odrzuconych przez rodziny lub dzieci przez te rodziny karczemnie zaniedbywanych. U dyr. Maślankowskiego jest tylko jedna pełna sierota. Reszta wywodzi się ze środowisk kryminalnych lub pijackich rodzin. Te dzieci nie prosiły się na świat, lecz zostały na ten świat wydane. W ciągu krótkiego swego życia poznały wiele zła, ciemnych, mrocznych stron. Jak na przykład te: czwórka rodzeństwa, z której najstarszy chłopiec ma lat 16, a najmłodszy 8. Ojciec nie żyje. Powiesił się na oczach swoich czworga synów podczas pijackiej libacji z matką. Podobno matka w delirium alkoholowym pomagała ojcu się wieszać. U tych czworga występuje nadpobudliwość, wzmożona agresja, to są tak zwane trudne dzieci. Ale one są. Zaistniały. Żyją. Znalazły się w „Słonecznej Po-

czterem dziewczynom, którym Poznańskie Towarzystwo ufundowało książeczki mieszkaniowe z 3-milionowym wkładem. Wypadło, aby obdarowane odebrały je osobiście. Dla nich to ważna w życiu chwila, taka książeczka na przyszłość, własne mieszkanie. A ponieważ totalny brak funduszy, więc na bilety z tych żywniówek się skroili kilkadziesiąt tysięcy.

U dyr. Kuczy dziewczyny muszą się nieźle napracować. Trzyletni program zasadniczej zawodowej robia tu w dwa lata – 42 godziny lekcji tygodniowo, bez wolnych sobót. Nauka plus praca na rzecz ośrodka i praca zarobkowa. Szyją na sprzedaż w szkolnych warsztatach różne ładne rzeczy, teraz są do kupienia ogromne prześcieradła frotte a 100 tys. sztuka. Pracują też w ogrodnictwie, myją okna ludziom.

Dyr. Kucza to jednak trochę szczęściarz. Znaczną część remontów dzięki dziewczynom robi we własnym zakresie. I od ręki. Dziewczyny malują ściany w swoich sypialniach, toaletach, korytarzach. Szyją zasłony, firany, narzuty. Mebli nie robią; meble są tu wszak ładne, nowe, eleganckie. Ośrodek dyr. Kuczy prezentuje się przynajmniej tak, jakby pochodził z całkiem innego, o wiele lepszego świata. Taka elegancja-Francja, naprawdę. No i budynki zaledwie dwudziestopięcioletnie, nowoczesne, jasne, przestronne. I ta estetyka, a nawet pewien komfort wnętrza. Ale przy ośrodku mieści się jedyna w kraju placówka diagnostyczna, zawsze tu przyjeżdżało sporo gości zagranicznych, więc na „wizytówkę” znajdowały się inne pieniądze. Małe dzieci ze „Słonecznej Polany” czy innych tego typu domów dziecka ścian nie pomalują, zasłon nie uszyją. Ich nie odwiedzały zagranicą, ważni goście, nie mają więc elegancji-Francji, choćby nie wiem jak usilnie pracowały pielać grzędy warzyw czy klomby z kwiatami.

Teraz jednak przyszedł walec i wyrównał demokratycznie: 150 mln do końca roku na ośrodek zabezpiecza ledwie jedną szóstą potrzeb. Co będzie dalej? Tego dyr. Kucza nie wie. Na razie ma zabezpieczone przez Kuratorium wakacje dziewczyn. Będą to wyjątkowo tanie wakacje: własne namioty, własna kuchnia, własne wyżywienie.

Więc i tak szczęściarz. Bo dyr. Mikulska wakacje ma i owszem zabezpieczone, ale wyłącznie na papierze (na dzień 1 czerwca). Czy papier ów zrealizuje się ciekawie, tego dyr. Mikulska nie wie. Trójka jej dzieci jedzie z Caritasem. Pięcioro, może sześcioro aż! Wyjedzie na kolonie organizowane przez Kur. Ze „Słonecznej Polany” też ma wyjechać z Kurią sześcioro. Lecz to nie są całkowicie darmowe kolonie dla społecznych sierot. Bynajmniej. Domy dziecka muszą pokryć koszty przejazdu i pełną stawkę żywieniową w wys. 11 tys. za dziecko dziennie. Kościół jest biedny, nie ma pieniędzy. W komunie Kościół było stać np. na utrzymanie sal katechetycznych i opłatę katechetów, teraz religia jest w szkołach i państwo płaci z budżetu oświaty za lekcje religii.

Nigdy nie ma za wiele dzieci

powiedziała Matka Teresa z Kalkuty. W naszej obecnej rzeczywistości budżetowej oświaty wygląda jednak na to, że tych dzieci, społecznych sierot jest stanowczo za dużo. Pożyjemy, dowiemy się, o ile za dużo. Ale przecież właśnie teraz – nie kiedy indziej, lecz teraz i tu, w tym kraju poddanym ogólnonarodowej dyskusji na temat aborcji, dla wszystkich jej przeciwników tworzą się każdego dnia nowe, rozległe obszary dla szlachetnej działalności charytatywnej. Lecz ani dyr. Kucza, ani dyr. Maślankowski, ani dyr. Mikulska nie otrzymują od partii, organizacji, stowarzyszeń chrześcijańskich żadnych darów, datków czy pieniędzy.

„Słoneczna Polana”, Dom Dziecka im. J. Krasińskiego, Ośrodek Wychowawczy otrzymują dary, datki od ludzi, przedsiębiorstw, instytucji świeckich. Ot, teraz właśnie na dniach Słoneczna Polana dostała od firmy Tora-Pol z ul. Sowińskiego magnetowid. Dzieci do kina nie chodzą, na to nie ma pieniędzy, więc co za radość, ile szczęścia! Wbrew powiedzeniu, zupełnie wbrew, że „lepiej być niż mieć” te dzieci cieszą się jak głupie, że mają własny magnetowid.

Wychowankowie „Słonecznej Polany”, innych domów dziecka wierzą w Boga, chodzą na lekcje religii, na mszę do kościołów. Ale kościół do „Słonecznej Polany” nie przychodzi, nie podzieli się swoim ubóstwem z ubogimi dziećmi. W zeszłym roku siostry karmelitanek od Dzieciątka Jezus z ul. Złocieniowej wraz ze słowem bożym ofiarowały „Słonecznej Polanie” szczerze dary. Ale to było w zeszłym roku i

tylko raz. Nie szkodzi, dzieci pamiętają te dary i mówią jeszcze dzisiaj siostrom wdzięczne Bóg zapłać.

Dom Dziecka im. J. Krasińskiego nie ma za co powiedzieć Bóg zapłać. W latach osiemdziesiątych i owszem otrzymywał dary z parafii z zagranicznych paczek żywnościowych i ubraniowych. Odkąd wszak „znaleźliśmy się we własnym domu”, dary ustaly. Dyr. Mikulska usiłowała otrzymać dary z Caritasu. Ile razy by nie poszła lub nie zadzwoniła, słyszała odpowiedź: „Właśnie były, ale już nie ma”. Lub „nie, jeszcze nie nadeszły”. Więc dała sobie spokój. Natomiast od Kurii otrzymała dwukrotnie w ciągu ostatnich dwóch lat żywność. Z tak przeterminowaną datą, że nie odważyła się dać owej żywności swoim dzieciom.

Prezydent Grzegorz Palka na budujące się Liceum Katolickie wyłożył z kasy miasta 200 mln zł. Ładny gest, a kwota przecież nie jest oszałamiająca. Ale Liceum Katolickie nie będzie służyło tym ubogim i potrzebującym; ono dla bogatych, mówi się, że obligatoryjne czesne będzie wynosiło z początkiem nowego roku szkolnego 700 tys. miesięcznie. Skoro dla bogatych, może by oni wspomogli budowę liceum, ich stać na to.

Dyr. Kucza mówi, że gdyby jemu prezydent podarował 200 mln zł, to za te pieniądze kupiłby dla swoich dziewcząt wyprawki. Na „wyprawki” dyr. Kucza oczywiście pieniędzy nie ma i pewno mieć nie będzie. A taka wyprawka: jedna kołdra, poduszka, zmiana pościeli, kilka talerzy i trzy garnki, to jak wyprawa od prawdziwej rodziny na nową, samodzielną drogę życia. Do tych zastępczych ścian mieszkania, które i tak długo pozostaną nagie i gołe, i ubogie.

Dyr. Mikulska mówi, że gdyby dla niej pan prezydent był tak łaskaw, to ona z punktu te deskę rozdzielczą, i te odgromniki, czyli remonty bieżące, i te trzy chociaż nowe tapczany: takie to marzenia dyr. Mikulskiej! A dyr. Maślankowski ma inne: on najpierw kupiłby dla swoich dzieci przybory szkolne, zeszyty, podręczniki, i to wszystko, co jest potrzebne do wyposażenia ucznia, żeby po prostu w szkole czuł się jak uczeń, a nie jak... dziecko z domu dziecka. Przede mną groźba nowego roku szkolnego, mówi dyr. Maślankowski. Nie ma pieniędzy ani na zeszyty, ani na podręczniki. Dyr. Kucza też nie ma na to pieniędzy. Dyr. Mikulska podobnie. Wszyscy dyrektorzy boją się tego nowego roku szkolnego. I nie tylko tego. Boją się o każdy kolejny dzień, jaki im trzeba mozolnie przeżywać wraz z wychowankami. Bo cisnie się pytanie: jak przeżywać te dni? Co będzie jutro? A za miesiąc? Przecież oświata nie ma pieniędzy. Społeczeństwo nie ma pieniędzy. Kościół nie ma. Nikt nie ma. Ale są dzieci, i dlatego:

DOMY DZIECKA PROSZĄ O WSPARCIE!

Dyr. Kucza utworzył w swoim Ośrodku Fundusz Pomocy Wychowankom. Opodatkowali się nań wszyscy pracownicy – ze swoich przecież niebogatyh pensji nauczycielskich. Praca zarobkowa dziewcząt też została oprocentowana: 10 proc. potrąca się od każdego zarobku, od tych prześcieradeł frotte też.

DOMY DZIECKA PROSZĄ O WSPARCIE!

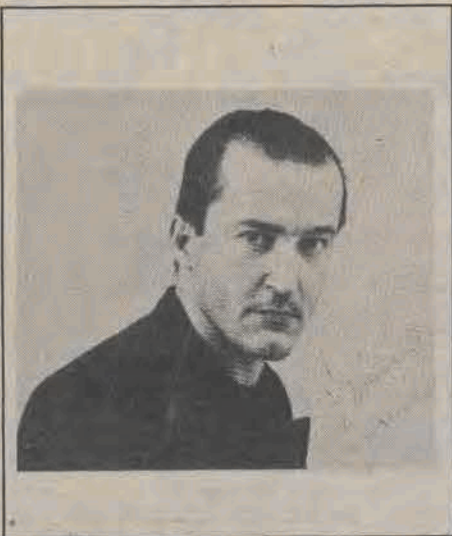
Dom o słonecznej nazwie „Słoneczna Polana” nazwał swoją prośbę Fundacją Dobrowolnych Świadczeń Społecznych. Wysłała listy do bogatych firm, zaczynające się od słów: „Budżet domu dziecka zabezpiecza tylko żywienie... (-) ...Widzisz możliwość pomocy materialowej, usługowej, pieniężnej – przyjdź! Poznasz problemy dzieci z rodzin patologicznych, zdegenerowanych, którym stworzenie godnych warunków egzystowania i podarowanie prawa do dobrego startu życiowego jest obowiązkiem nas wszystkich”.

Bo to naprawdę nie zawsze „wystarczy być”. Do tego, żeby być – trzeba jeszcze i mieć za co być.

Ewa Ostrowska

Fundacja Dobrowolnych Świadczeń Społecznych: Państwowy Dom Dziecka „Słoneczna Polana” w Łodzi ul. Sowińskiego 3. PBG II/0 Łódź, 344612-3245-189-85.

Fundusz Pomocy Wychowankom III PMOW: 14605-55172-170-4 I/0 Operacyjny ŁBR SA.



Po raz trzeci przyjeżdża do Łodzi Teatr Ekspresji Wojciecha Misiuro (w kwietniu oglądaliśmy spektakl „ZUN”, w maju „Dantończyków”, 17 czerwca zobaczymy „Idole perwersji”, czyli pełen erotyki pokaz 200 kostiumów teatralnych Zofii de Ines Lewczuk, coś czego w teatrze jeszcze nie było, coś co szokuje, zachwyci i podnieca).

Założycielem Teatru Ekspresji jest jeden z najbardziej oryginalnych i najciekawszych obecnie polskich twórców (choreograf, reżyser, inscenizator własnych pomysłów), absolwent Gdańskiego Studia Baletowego, były mim Wrocławskiego Teatru Pantomimy, tancerz, były pedagog na wydziale aktorskim łódzkiej PWSFTViT – **WOJCIECH MISIURO**.

Jego teatr jest teatrem przyszłości, a język jakim się w nim posługuje jest jeszcze nie znanym w świecie, ale jednocześnie uniwersalnym i arcyciekawym, co każe prognozować twórcy i jego teatrowi sławę międzynarodową.

Na razie szokuje, bulwersuje, oburza, ale nikt nie pozostawia obojętnym i zmusza do myślenia, także niekompetentne i skostniałe łódzkie recenzentki oraz zafascynowaną młodzież, wśród której zdobywa coraz więcej wielbicieli.

Dla jednych i drugich, specjalnie dla „Odgłosów” – rozmowa z artystą.

– Podobno nie przyjmuje pan do swojego zespołu tancerzy-absolwentów szkół baletowych, sam będąc dyplomowanym tancerzem. Czy aby nie jest niesprawiedliwy wobec młodych ludzi, przygotowanych do zawodu i chcących tańczyć przygotowanych do zawodu i chcących tańczyć nie tylko w tradycyjnych zespołach baletowych?

– Jestem wyłącznie niesprawiedliwy, bo sztuka jest niesprawiedliwa. A ja prowadzę teatr autorski czyli subiektywny. Aktor-tancerz jest dla mnie tworzywem twórczym, ale wybieram wyłącznie takich ludzi jakich potrzebuję do swoich przedstawień. Przede wszystkim są to sportowcy, gdyż angażuję osoby bardzo sprawne, wysportowane, wytrenowane, potrafiące zrobić coś ze swoim ciałem, ale w inny sposób niż tancerze. Młody człowiek w momencie, gdy przychodzi do mnie, musi być kimś, czegoś chcieć i jednocześnie mieć coś do powiedzenia. Ponieważ zgłasza się do mnie wiele osób, mam możliwość selekcji, ostrej, gdyż szukam rzeczywiście ciekawych osobowości.

– Co robił pan po dyplomie w Gdańskim Studiu Baletowym?

– Przez cztery lata tańczyłem w Operze Ba-

„Potrafię dostrzec urodę męską i ją pokazać”

tyckiej, w której baletem kierowała Janina Jarzynówna-Sobaczak, najwybitniejszy powojenny polski choreograf. To przecież Jarzynówna wymyśliła nową stylistykę tańca współczesnego – słynną, drugą pozycję. Moim szczytowym osiągnięciem było pas des deux w I akcie „Jeziora łabędziego”.

– A wcześniej?

– Mając lat cztery występowałem na scenie. Jako siedmiolatek grałem Jezusa w „Jasełkach” podczas wizyty u prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego, który w momencie, gdy zapomniałem tekstu okazał się znakomitym sufferem.

– Czy obecnie śledzi pan polski rynek baletowy czy też jest mu obojętny?

– Jest mi obojętny, bo nic ciekawego się na nim nie dzieje. Interesują mnie wyłącznie takie spektakle, które wnoszą coś nowego do sztuki.

– Pięć lat spędził pan we Wrocławskim Teatrze Pantomimy Henryka Tomaszewskiego. Z jakimi doświadczeniami opuścił pan pantomimę?

– Przez teatr przewinęło się już 300 osób, wybrałem kilkanaście. Obecnie jest 15 osób, dojdą trzy. Staram się, aby w piękno ciała moich wykonawców była wmontowana ciekawa osobowość. Dlatego angażuję wyłącznie sportowców, gdyż są wyedukowani w sposobie pracy, przyzwyczajeni do ciągłych treningów, a u mnie trzeba ciężko pracować na finały efekt. Poprzedza go szara, znojna, codzienna praca. Pracują u mnie absolwenci AWF i byli członkowie klubów sportowych Wybrzeża. Mają od 19 do 28 lat.

– Teatr ruchu, ekspresji i osobowości. Wspaniały konglomerat! Jakim kosztem udało się go osiągnąć?

– Głównie dzięki pracy, pewnemu rytmowi, stałości i całkowitemu poświęceniu się temu co robimy.

– Słyszałem, że narzuca pan straszliwy reżim w zespole?

– Uważam to za rzecz normalną. Rodzaj teatru jaki uprawiam wymaga wręcz nieskazitel-

– A pana skrywane kompleksy, tęsknoty i dewiacje?

– Publicznie jestem dostępny tylko na scenie. I właśnie tam można mnie odczytywać i doszukiwać się prywatnego.

– Czy odmiennosc seksualna ma tu jakieś znaczenie?

– Jestem Europejczykiem.

– Jakie jest pana życie prywatne?

– Dom w Gdańsku-Oliwie, kot w ogrodzie, narzeczona (znana malarka) we Wrocławiu. Najlepiej wypoczywam w kuchni i nad morzem.

– Podobno kolekcjonuje pan garnitury i koszule. Trzy przepastne szafy pękają w szwach?

– Owszem, ale i tak chodzę wciąż w tych samych rzeczach.

– Co kupił pan podczas pobytu w Łodzi?

– 65. garnitur włoskiego producenta i trzy koszule bawełniane „Wólczanki”, ale muszą to jakoś schować przed ojcem, bo znowu zarzucił mi, że jestem rozrzutny.

Rozmawiał:

Bohdan Gadomski

Perwersja to również tajemnica...

Rozmowa z WOJCIECHEM MISIURO

– Pantomimy nauczył mnie Jerzy Kozłowski. Będąc w teatrze Henryka Tomaszewskiego, mogłem podglądać mistrza w rytuale tworzenia i obserwować – jak z pozornego chaosu powstaje dzieło. Okres pracy w tym teatrze nauczył mnie, że umiejętność jest wartością oczywistą, ale nieumiejętność też jest wartością.

– Jakże rolę powierzał panu Tomaszewski?

– Grałem wiele postaci...

– Czy zawsze z pełną satysfakcją z ich odtwarzania?

– Nigdy nie byłem zniechęcony.

– Czy nie jest pan dzisiaj ciekawy opinii Henryka Tomaszewskiego na temat tego, co samodzielnie robi pan w sztuce?

– Nie znam jego opinii, chociaż nie przeczę, że wypowiedź artysty zawsze jest interesująca, ale każdy z nas jest na swój sposób egoistą.

– Zastanawiam się – czy już w pełni udało się panu opanować sposób prowadzenia obrazu, eksponowania ciała i idei?

– Mam nadzieję, że zawsze będę w drodze, że zawsze będę poszukiwał. Nigdy nie chciałbym określać się do końca, chociaż zależy mi na własnym języku teatralnym.

– Domyślałem się, że swoich artystów-sportowców musiał pan uczyć wszystkiego od podstaw?

– Tak, musiałem, ale są to wyjątkowo utalentowani ludzie, którzy błyskawicznie pojmowali wszystko i to co teraz robią na scenie jest czytelne. Kiedyś edukowałem ich sam, obecnie robią to inni: Kirył Matwiejew i Aleksy Woronin – klasyka, Grzegorz Chrapkiewicz – zajęcia aktorskie, Andrzej Leszczyński – trening interpersonalny (znakomite zajęcia osobowościowe). Czasami są zajęcia z technik karate i siłowe. Sam nadal prowadzę etudy aktorskie, plastykę ciała i pantomimę.

– Jak duża jest selekcja przy naborze nowych kandydatów do Teatru Ekspresji?

ności od aktorów, którzy wciąż muszą walczyć o swoją sprawność, wygląd, o siebie.

– I oni nigdy się nie buntują?

– A co to jest „bunt”?

– Zauważyłem, że postawił pan na mężczyzn?

– Pozornie może się tak wydawać. Przewaga mężczyzny związana jest z kłopotami w znalezieniu idealnych dziewcząt.

– Ale i tak bardziej eksponuje pan piękno ciała męskiego, chociaż przyjęło się, że to uroda ciała kobiecego dominuje nad męskim?

– Potrafię dostrzec urodę męską i odpowiednio ją pokazać.

– To właśnie dlatego wprowadził pan nie tylko męskich, wysportowanych facetów, ale pokazał ich nagich... Nie obawiał się pan ataków naszego wyjątkowo pruderyjnego społeczeństwa?

– Artysta nie ma takich problemów. Może to być problem widowni, ale...nie mojej!

– Co zwykle stara się pan osiągnąć pokazując nagie ciała na scenie!

– Jest to element aktu twórczego. Nagość jest u mnie kostiumem.

– W „Idolach perwersji” ubiera pan swoich aktorów w 200 teatralnych kostiumów i każe im spełniać rolę modeli, ale nawet ubierając a nie rozbierając osiągnął pan niesamowity podtekst erotyczny, który bardziej ekscytuje widownię niż nagość w wannie na środku sceny. Ciekawy jestem, jak duża dawka perwersji tkwi w pana osobowości?

– Każdy artysta prowadzi grę z publicznością. To dobrze, że jestem tak odczytywany, bo perwersja to również tajemnica. W teatrze zdarza się, że aby coś odkryć, najpierw trzeba zakryć i owa gra między oczekiwaniem widza a wyobraźnią artysty jest dreszczykiem emocji i perwersji...



DANTOŃCZYCY

Fot. Krzysztof Kamiński

PS. Zapowiadany i oczekiwany z ogromnym zainteresowaniem spektakl Wojciecha Misiuro „Idole perwersji” nie odbył się w Łodzi (17 czerwca), ponieważ Agencji Artystycznej Jerzego Gudejki udało się sprzedać zaledwie 700 biletów na dwa spektakle. Jak się okazało, Łódź nie chce perwersji, chce chleba i bulwersujący nie tylko Polskę spektakl „Idole perwersji” zachwyci właśnie widzów czechosłowackich, a następnie szwedzkich. Być może zobaczymy go w październiku, bo w tym miesiącu będzie prezentowany w Warszawie.

Oblicza Terpsychory czyli XI Łódzkie Spotkania Baletowe (4)

Festiwal tańca – niezwykle już popularny w Europie, zwiędziły dwie realizacje choreografa światowego formatu. Byli nimi: „Dies Irae” Romana Maciejewskiego i „Legenda o Józefie” Richarda Straussa w inscenizacji i choreografii Emila Wesolowskiego. Wykorzystując zaledwie jedną, lecz niezwykle obszerną, część „Requiem” Wesolowski stworzył balet – mówię to z pełną odpowiedzialnością – doskonały. Jego „Dies Irae” to utwór na wskroś nowoczesny, pełen dramatycznego napięcia i perfekcyjnej wręcz dbałości o zgodność z klimatem kompozycji.

Wielkie słowa uznania należą się także wszystkim wykonawcom tego szalenie trudnego, ekspresyjnego układu. Dyscyplina panująca w całym zespole baletowym warszawskiego Teatru Wielkiego zadecydowała o nienagannym kształcie przedstawienia. Kunszt tanecznej wirtuozerii zademonstrował najznakomitszy dziś w kraju artysta – Łukasz Gruzziel, którego osobowość i siła wyrazu na długo pozostaną w pamięci festiwalowej publiczności. Zresztą nie było w spektaklu tancerza niedoskonałego. Mam też nadzieję, że dzięki Wesolowskiemu polskie orkiestry zdecydują się umieścić w swym repertuarze kompozycję urodzonego przed 81 laty w Berlinie, a mieszkającego stale w Szwecji wybitnego Polaka. Może dzięki tej realizacji nazwisko Maciejewskiego zająłoby w Polsce równym co na świecie blaskiem.

Kropkę nad i w tegorocznych Spotkaniach postawił łódzki Teatr Wielki przedstawiając wspomnianą już „Legendę o Józefie”. Wątek biblijnej opowieści stał się tematem trzeciego już baletu. Andrzej Matul – autor najnowszego libretta, opierając się na „Józefie i jego braciach” Tomasza Manna stworzył najciekawszy i najpełniejszy treściowo i emocjonalnie scenariusz. Bardzo piękna, a zarazem niezwykle trudna muzyka R. Straussa i wzbogacone Mannem libretto zainspirowały Wesolowskiego do stworzenia dzieła, które mimo od-

miennej zawartości, scharakteryzować można podobnie jak dwa wcześniej prezentowane przedstawienia jego autorstwa. Pewnym jest, że Wesolowski posiada swój bardzo wyraźny język choreograficzny, bardzo dystyngowany styl pełen wycucia smaku i wyrafinowanej elegancji. Jego praca cechuje pietyzm i duża doza pokory w odniesieniu do muzyki, jaką realizuje. Spektakle Wesolowskiego są klarowne, rozwiązane inscenizacyjne tchną świeżością, a koncepcje choreograficzne oryginalnością. Myślę, że właśnie dzięki temu tworzywo, jakim się posługuje, jest mu zawsze posłuszne.

Tak też było w przypadku „Legendy...”, której jednak bardzo zaszkodziła nieprzemysłana scenografia Ivy Szczerbińskiej-Gueguen. Scena zaopatrzona w malowane kulisy a la Pankiewicz (nie raździłbym mierzyć się z mistrzem tak szybko), dzięki zbyt solidnej zabudowie pseudomarmurowej w początku II aktu przypominała raczej stacje moskiewskiego metra a nie egipskie wnętrza, w których można było dopatrzeć się nawet rodzimej Cypelii. Maniera upinania tu i ówdzie zwicznych firanek sprawdza się zawsze na scenach niezawodowych, a taką nie jest scena Teatru Wielkiego w Łodzi, o czym pani Gueguen powinna już wiedzieć po realizacji „Mądrej” Carla Orffa. Nie najlepiej miała się też sprawa z kostiumami, które zaprojektowane zostały bez duszy, „po najmniejszej linii oporu”. Najbardziej poetycka postać wysłannego Wędrowca – Orła ubrana została przez panią scenograf w kostiumik noszony od lat przez Supermanów i Batmanów, który jak podслуhałem, niektórym kojarzy się nawet z symboliką Czerwonego Października. Pelerynko-skrzydółka z wierz-

chu czerwone, a pod spodem złote jednoznacznie łączyły się z „poetyką” cyrku, gdzie chyba scenografie pani Gueguen byłyby w sam raz na swoim miejscu.

Szczęśliwie jednak taniec grał tu pierwsze skrzypce. Falszywe nuty scenografii „zagłuszyli” bardzo dobrze tańczący: Tomasz Dembczyński (Józef), Małgorzata Marcinkowska (żona Putyfa) Sławomir Woźniak (Wędrowiec – Orzeł) i Czesław Bilski (Jakub). Mimo wszystko nie mogłem pozbyć się wrażenia, że Wesolowskiemu zabrakło kilku prób (i to nie tylko scenicznych) by poziom wykonania dorównał idei. Mam jednak pełne podstawy, by sądzić, że balet ten jeszcze się roztańczy.

Tymczasem finis coronat opus. W tym roku złożyły się na nie prace 14 choreografów z 6 krajów świata, które obejrzało ponad 20 tys. widzów. A skoro jestem już przy statystyce... W czasie przekraczającym 30 godzin obejrzałem 31 baletów skonstruowanych do muzyki 32 kompozytorów. Największe „powodzenie” miał W.A. Mozart (w Roku Mozartowskim tak właśnie być powinno), którego aż 7 kompozycji ilustrowano baletem. Czterokrotnie interpretowano muzykę J. S. Bacha, a po dwie realizacje mieli Strawiński, Brahms, Pärt, Czajkowski i Webern. Wystąpiło 11 zespołów baletowych, których produkcje prokowały do lansowania opinii i zadawania pytań. Dokąd zmierzają współczesny balet. Jakie są granice oddzielające taniec od zwykłego ruchu w rytm, a niekiedy i poza rytmem muzyki? Czy wszystko można tańczyć? Czy wszystko wolno tańczyć?! Podobne pytania, a i wiele innych stawiali sobie wszyscy uczestnicy baletowych spotkań. C z

drugiej strony rampy zabierali głos w dyskusji swoimi realizacjami wypowiadając się na temat sztuki, piękna. I tak jak od wieków żadna z prób zdefiniowania tych pojęć nie dała satysfakcji, tak i teraz nikomu nie udało się powiedzieć ostatniego słowa. (I dzięki Bogu!).

Oceniając wszystkie przedstawienia sądzę, że najbliższą dla współczesnego tańca wydaje się być słynna definicja Bergsona mówiąca o tym, że sztuka raczej wraza się w psychikę człowieka niż ją wyraża.

Prawda jest jednak taka, że nie zawsze wychodzi to człowiekowi na zdrowie. Przeważająca ilość spektakli preintelektualizowanych, bogatych w masochizm, nihilizm i inne izmy wskazuje chyba jednoznacznie fin de siecle. Jeśli coś nie było skrajnie tragiczne, nostalgiczne, metafizyczne, czy choćby śmiertelnie poważne, to było idiotycznie nieuzasadnione. Wyjątek stanowił Stuttgarter Ballet z komedią „Poskromienie złośnicy” i balet dziej pantomimy niż balet w wykonaniu Nats Nus Danca z Hiszpanii. Niewątpliwie największy sukces odnieśli na tegorocznych spotkaniach polscy choreografowie: Ewa Wychowska i Emil Wesolowski. To para niezwykle utalentowanych, młodych choreografów, którzy już władają własnym, nietrudnym do zidentyfikowania językiem. Jestem przekonany, że jeśli ich talent rozwijał się będzie nadal w preferowanych przez nich filozoficznych kierunkach, to realizacje osiągną stylistykę wielce wysublimowaną i jeszcze piękniejszą. Już dziś można zaliczyć ich do arystokracji baletu.

Do zobaczenia za dwa lata.

Michał Lenarciński

HIT

Niebezpieczna książka

Po co pisać się rozprawy o literaturze? Najczęściej – z obowiązku zawodowego, by otrzymać upragniony stopień naukowy.

Znacznie rzadziej – by wykazać kunszt interpretacyjny, błysnąć erudycją, odstąpić zalety stylu. A najrzadziej – by przebudować istniejący obraz literatury, by do świata ustalonych hierarchii wprowadzić zamęt. Takie pisanie o literaturze jest szczególnie niebezpieczne.

Zademonstrowała je ostatnio Joanna Salamon w elegancko wydanej rozprawie pod kuszącym tytułem „*Latarka Gombrowicza*”. Przyjemnie wziąć taką książkę do ręki, miło byłoby ją przekartkować, odnajdując w środku trochę frazesów o „gębie” i „pupie”, o egzystencjalizmie i grach literackich, o upalnych nocach w Buenos Aires i melancholijnych wieczorach Venice. Tymczasem – nie z tych rzeczy.

Joanna Salamon każe nam wierzyć, że najwięksi polscy pisarze prowadzą między sobą potajemne rozmowy, że wszystko jest w naszej literaturze zaszyfrowane. I „Pan Tadeusz” i „Beniowski”, i „Światło dzienne”, i „Kosmos”. Przeciwno „Lechitom”, spadkobiercom Kochanowskiego i Słowackiego, stają „Litwini” – Mickiewicz i Miłosz. Dwa stronnictwa – „słoneczne” i „księżycowe” kłócą się bez przerwy między sobą.

W „Konradzie Wallenrodzie” Niemcy to w rzeczywistości Filomaci, Mistrz zakonu – Jan Kochanowski. W „Kosmosie” Fuks oznacza Mickiewicza, Drozdowski – Jana Kochanowskiego itd.

Cóż z tego wynika!

Jeśli uwierzmy autorce, skutki mogą się okazać nieobliczalne. Okaże się wówczas, że dobrze znane książki mówią o czymś zupełnie innym, niż skłonni byliśmy przypuszczać. Autorytety naukowe spłoną ze wstydu. Skończą się studia przestaną w ogóle czytać literaturę polską i zajmą się na przykład teorią mnogości albo zjeżdżają na złą drogę. Ze spisu lektur uczniowskich trzeba będzie wycofać i opis matcznika, i fraszki o doktorze Janie, i wiersze noblisty Miłosza. Młodzi barbarzyńcy zadowolą się „Naszą szkapą”, „Popiołem i diamentem” oraz patriotycznym lirycznym o palkach i wojennej zadymie – jako utworami stosownymi do wieku.

Tragedia. Niebezpieczną książkę napisała Joanna Salamon.

Joanna Salamon: *Latarka Gombrowicza*. „Rubiikon”, Wrocław 1991.

W sidłach polemologii

Jak łatwo się domyślić, polemologia jest nauką. Bardzo podobna mi się ta nazwa – odpowiednia dla jakiejś gałęzi zoologii, stosowna dla najszlachetniejszych pasji badawczych człowieka. Polemolog mógłby być entuzjastą jakiegoś gatunku zwierząt kopalnych, jaszczurek albo nieznanymi owadów. W ostateczności mógłby okazać się lekarzem.

Niestety – przedmiotem polemologii są wojny, jakie toczy ludzkość od początku swej historii aż do dnia dzisiejszego.

Materiału ma polemolog pod dostatkiem. W samej historii Europy odnotowano coś koło 15 tysięcy

cy wojen – większych i mniejszych. Całe szczęście, że nie o wszystkich pamiętać muszą uczniowie. Zdaje się, że do uzyskania świadectwa dojrzałości wystarczy znajomość stu pięćdziesięciu, co ostatecznie też nie jest liczbą małą.

Angielski polemolog Michael Howard dokonał syntezę bogatego materiału, spróbował uporządkować na nowo zamęt ludzkich dziejów. W jego wizji polemologia graniczy z historią, demografią, ekonomią i sztuką wojenną. Czy to słuszne ujęcie?

Jeszcze na początku mijającego stulecia niektórzy sądzili, że fenomen wojny powinien zostać zbadany przez psychiatrów. Wojna była dla nich świadectwem słabości, a nie siły społeczeństw, przejawem dekadencji, duchowej choroby trawiącej ludzkość.

Prawa, ogólne reguły, w jakich staramy się opisać europejskie wojny, raz po raz okazują się zawodne. Być może mamy do czynienia z jakąś ewolucją, ale trudno określić jej kierunek.

Kiedy już wydawało się, że wojny rozstrzygać będą armie specjalistów, Europa zwróciła się ku formule wojny totalnej (taki charakter miała przecież II wojna światowa). Także i technika wojenna sprawia nam wiele niespodzianek – automatyczny karabin uczynił z każdego obywatela potencjalnego strzelca wyborowego. Z drugiej strony, wojna przeciwko Irakowi, prowadzona przez komputery, satelity i lasery, postawiła skuteczność „totalnej mobilizacji” pod znakiem zapytania.

Książka Howarda skłania w każdym razie do jednej refleksji – niezbyt może odkrywczej, ale dosyć przerażającej. Na przestrzeni ponad dwudziestu wieków ludzkość rozmyślała bardzo często, jak wojny prowadzić i bardzo rzadko, jak ich uniknąć.

Jan Tomkowski

Michael Howard: *Wojna w dziejach Europy*. *Thom. Tadeusz Rybowski*. Wrocław 1990.



The plot to kill Hitler (Zamach na Hitlera) – film oparty na autentycznych wydarzeniach z lipca 1944 roku, gdy grupa rozczarowanych przebiegów wojny niemieckich oficerów usiłowała zabić Hitlera i przejąć władzę w Niemczech. Z uwagi na sprawną realizację, dobrą grę aktorską i trzymającą w napięciu akcję, film można polecić również bardziej wymagającym widzom.

My stepmother is an Alien (Moja macocha jest kosmitką) – Komedie science-fiction, w której do domu naukowca Steve Millsa trafia przedstawicielka obcej cywilizacji – dziewczyna „nie z tego świata”. Tych dwoje musi się oczywiście wiele od siebie nauczyć oraz zdobyć akceptację dla tego związku ze strony trzynastoletniej córki naukowca... Mistrzowska realizacja, wspaniała gra aktorska i ciepły ludzki humor – to wszystko czeka na tych, którzy zdecydują się obejrzeć ten film.

Carmen – wspaniała adaptacja filmowa opery Bizeta ze znakomitymi rolami Placido Domingo i Julii Migenes-Johnson. Ten film trzeba po prostu obejrzeć!

The Quack Quick Daughters – Komedie erotyczna z kręgu tzw. niemieckiego seksu. Na ekranie jest więc sporo pięknych dziewcząt i intymnych sytuacji, sensu jednak w tym wszystkim znacznie mniej. Kto jednak lubi tego typu produkcje – nie będzie rozczarowany.

Marek Stypaniak



Za kulisami filmu

Tygrysy i Lew

Beata Tyszkiewicz nie ma szczęścia do mężczyzn, trzykrotnie zamężna i niedawno po raz trzeci rozwiedziona, dzieli los samotnych matek wychowujących dzieci (23-letnia Karolina i 11-letnia Wiktorina, siostry przyrodnie). Pierwszy mąż – reżyser Andrzej Wajda, niewiele – zdaniem gwiazdy – pomógł w karierze, bo nakręcił z nią tylko trzy filmy. Drugi mąż – reżyser filmowy Witold Orzechowski, jeszcze mniej, bo nakręcił tylko jeden film (telewizyjny „Jej powrót”), a po rozwodzie wyjmołwał gwóźdź ze ścian, nie wspominając o tym co na nich wisiało.

Warszawskie mieszkanie Beaty Tyszkiewicz jest zatem więcej niż skromne, a wiejski dworek (po C. K. Norwidzie) choć odremontowany też pozostawia wiele do życzenia. Trzeci mąż – Jacek Podlewski (architekt), stale mieszka w Paryżu i za nic nie chciał powrócić do Polski (poznali się już w 1955 roku, ale tak naprawdę odkryli dopiero po wielu latach w Marsylii). Mimo że trzeci mąż był spod znaku Panny, to podejrzanie przypominał eks-męża Rybę. Tajemnicę podobieństwa wyjaśnił dopiero horoskop chiński (obaj wg niego byli Tygrysami). Ale ponieważ Beata Tyszkiewicz jest Lewem, a wiadomo, że Tygrys z Lewem nie mogą żyć w jednej klatce, stało się jak się właśnie stało.

Beata Tyszkiewicz nie lubi mówić o rozwodach, bo jej zdaniem znacznie przyjemniej jest wychodzić za mąż, co znaczy, że gwiazda jeszcze ma nadzieję... Ale zanim poszuka czwartego męża, sprawdzi – czy aby nie jest on Tygrysem. Największą szansę będą miały Wagi. Niestety, Beata Tyszkiewicz, zaproponowała mi jedynie rolę osobistego sekretarza. Odmówiłem, bo w tym czasie byłem biografem Violetty Villas. Od tego czasu jesteśmy w nieoficjalnej separacji i nie bywam już na domowych obiadach u pań Tyszkiewicz na ul. Pięknej. Ale faktem pozostaje, że jestem spod znaku Wagi! Póki co, Beata Tyszkiewicz



Podsluchane Podpatrzone Odnotowane

redaguje BOHDAN GADOMSKI

myśli o spisaniu i wydaniu wymyślonych przez siebie bajek. Kiedy to jednak uczyni, będzie je mogła dedykować wnuczątom. A na razie gra rolę ciotki w filmie Skolimowskiego „Ferdynand”

W małym dworze



Krystyna Janda urodziła syna. Ma na imię Andrzej i jest spod znaku Barana. Przypomnę, że Janda ma córkę Marię Ludwikę i syna Adama. Ojcem Marysi jest aktor Andrzej Seweryn, ojcem synów operator filmowy Edward Kłosiński, który okazał się mężem życia naszej gwiazdy nr 1.

Aby donosić zagrożoną ciężę, aktorka musiała przez miesiąc leżeć w łóżku. Nie przyjmowała napływających z całego świata zaproszeń m.in. do jury festiwali filmowych i nie czytała poczty, którą córka składowała w olbrzymim worku. Jedynym wywiadem, jaki ukazał się w prasie w tym okresie był mój wywiad, o czym muszę przypomnieć, bo był to wycyzn nie lada!

Krystyna Janda (prawdziwe nazwisko z domu Janicka) mieszka w Milanówku w małym dworze, który składa się z 17 pokoi, 2 łazienek i 3 WC. Oprócz rodziny państwa Kłosińskich, przeprowadzili się do dworcu rodzice pani Krystyny. Nie liczę już psów i kotów. Po głośnym rozwodzie z Andrzejem Sewerynem (obecnie związanym z Libanką urodzoną w Paryżu, z którą ma 2-letniego syna Maksymiliana), Janda mieszkała w małej kawalerce (byłem, widziałem i podziwiałem hart ducha gwiazdy). Później przeniósł się do dużej willi w tej samej dzielnicy. Obecnie mieszka we dworze. Ile kosztuje utrzymanie tak dużego domu – nie wiadomo, ale nazwisko Krystyny Jandy ukazało się na liście najbogatszych ludzi w Polsce. I słusznie, że choć jedna aktorka tam się znalazła, bo komu jak komu, ale Jandzie należą się wielkie pieniądze. Pracowała na nie zawsze ponad ludzkie siły. Córka Maria Ludwika kończy, w Warszawie szkołę francuską. Po wakacjach w Hastings (Wielka Brytania) tegoroczne spędzi w Paryżu (u ojca). Również w Paryżu przebywa obecnie Krystyna Janda, gdzie promuje swój słynny film „Prześluchanie”. Wróciła do pracy i kręci najnowszy film w RFN. I znowu będzie bez urlopu, jak dawniej.

Wiersze piękne:

Gotfried Benn

Ktoś śpiewał

Ktoś śpiewał:
Kocham pewną kurwę, nazywa się To.
Jest czymś najbrunatniejszym. Jak gdyby z czołen
przez całe lato. Jej chłód przenika mi krew.

Jest przepaścią dzikich, ciemnych kwiatów.
Żaden anioł nie jest tak czysty. O macierzynskich oczach,
Kocham pewną kurwę. Nazywa się To.

przełożył Witold Wirpsza

Odkrycie tego wiersza, a kto wie czy także nie Gotfrieda Benn, zawdzięczam Zdzisławowi Jaskule. U zbiegu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Że tak często wracam na przykład w skróconej wersji – A choćby tak:

Kocham pewną kurwę
Żaden anioł nie był tak czysty
Nazywa się To. –

zawdzięczam już tylko rzeczywistości. Posiadaczom jedynej prawdy, z własnego na ogół nadania. Czytałem jako element antysocjalistyczny, czytam i dzisiaj, być może jako podwórkowy kundelek. By nie pamiętać lekarza z wiedzą o homoseksualizmie poniżej szkoły podstawowej. Słów poety zabraniającego grać Moliera w Zielone Świątki (a przecież nikt nie nakazuje wówczas chodzić do teatru – dobrze byłoby też nie zakazywać). Niesmaku oglądaczy Anteny 5, niepomnych, że „noc jest do spania”, jak drwił kiedyś Barańczak. Wdzieli! By tym donośniej oprostować niewątpliwie piękno ludzkiego ciała.

Wszystkim tak głośnym przedstawicielem czarno-białego obrazu świata warto przypomnieć – bez żadnej zresztą nadziei, że wiele dróg prowadzi do Rzymu. Że prawdziwa świętość nie podlega zgorzeniu i pozostając nią czuje, rozumie – także wie:

dobrze być wiernym, chociaż
zdradzamy
nie ranić a jednak zadawaliśmy ból
kochać
lecz bywało żywiłiśmy niechęć
a zbawianie mieczem wcześniej albo
wkrótce uczyni nas tyranami

i że człowiek także sam dla siebie
jest tajemnicą – nie zawsze najjaśniejszą.

Dlatego
powracam do lirycznego wiersza tego Niemca, nadto żołnierza Wehrmachtu i żeby było jeszcze dziwniej jednego z największych poetów XX wieku.

Kocham pewną kurwę. Nazywa się To.

Wybór i komentarz:
Andrzej Babaryko

* * *

Polskie dziś, to nie jest czas dla poezji. To nie jest czas dla poetów. Mimo to, a może właśnie dlatego, drukować będziemy – co dwa tygodnie – „wiersze piękne”, wybrane i komentowane przez poetę. Otacza nas świat twardy, brutalny i prozaiczny. Zanika wrażliwość, kurczą się obszary piękna, nawet w ludzkiej duszy. Trzeba je chronić niczym lasy przed kwaśnym deszczem. A potem cierpliwie restaurować ludzkie wnętrza, przywracając im potrzebę wzruszania się, przeżywania i rozumienia nie tylko dostownego. Poezja ma siłę magiczną i – choć zabrzmi to bardzo naiwnie – w niej nadzieja na lepsze jutro. Bogaćmy się – i nie mam tu na myśli dolarów.

Marek Koprowski

Fan Club Jacka Wójcickiego



„Gdy Jacek śpiewa, to nikt nie ziewa”

Cześć!
Dzięki wspaniałej redakcji „Odgłosów” możecie od dziś, co tydzień, czytać o wspaniałym Jacku Wójcickim.

Łódzki Centralny Fan-Club „CORRIDA” działa na terenie kraju od stycznia br. Pytania dotyczące przynależności do „Clubu” proszę kierować listownie pod adresem: Łódź, ul. Sanocka 27 m. 13.

Jacek występował w naszym mieście 8 czerwca w towarzystwie przyjaciół: Marka Pacuły, Michała Piótoraka i niezastąpionego Konrada Mastylo. Artysta z występów był bardzo zadowolony, za co dziękuje wspaniałej łódzkiej publiczności.

Za tydzień przeczytacie o najnowszej kasce Jacka Wójcickiego.

Z serdecznym pozdrowieniem

Jacek (nie Wójcicki)

Idee, poglądy, orientacje

Jakość życia

Dwa pytania: Czego spodziewa się przeciętny człowiek, gdy woła o wolność? – Czy wolny jest ten, kto może zrobić co chce?

Dawne rozumienie wolności różni się od dzisiejszego, daleko odbiegającego od ujęcia wskazującego na powinność. Dzisiejsze, zindywidualizowane pojęcie wolności koncentruje się najczęściej na zespoleniu wolności od nędzy z wolnością od strachu. To jednostronne widzenie przesłania inne aspekty wolności, streszczając się pod hasłem „jakość życia”. Wyraża się to pewnością wszechstronnej pomocy ze strony państwa i społeczności – wyzwala z „potrzeb” i „strachu”. Tak materialistyczno-hedonistycznie „nastawiony” obywatel nie będzie nawet troszczyć się o stworzenie podstaw tego stylu życia – od tego ciężaru uwolni go przecież państwo. On tylko żąda – jego „jakości życia” zawsze czegoś jeszcze brakuje. Ten nadrozwoj zniewala, zacieśnia horyzont tylko do sfery „mieć” lub też powoduje, że posiadanie staje się naczelnym kryterium życia i działalności człowieka. Tworzy cywilizację „spożycia” i konsumpcji. Zajęcie takiej postawy nazywa S. Kierkegaard – niedopuszczeniem do rozwoju ludzkiej wolności lub też rezygnacją z niej, a Jan Paweł II stanem „radykalnego nienasyceńca”. Oczywiście nie jest obojętna ilość posiadanych dóbr. „Posiadanie” ma być jednak warunkiem „bycia”, a nie jego wyznacznikiem.

Taką propozycję obowiązków „obywatela wolnego kraju” przedstawia Antoni Bohm w eseju „wszyscy mówią o prawach – my mówimy o obowiązkach”. Swoją katalog rozumiana Bohm od obowiązku miłości, rozumianej nie jako „eros”, a raczej „caritas”. Miłość musi określać postępowanie społeczeństwa. Ma ona być racją i siłą napędową polityki w systemie wielopartyjnym. Bez niej polityka zdegeneruje się do czystej walki o władzę lub „konfrontacji i zimnej wojny domowej”. Co nam da taka postawa – da braterstwo, uszanowanie praw człowieka, gotowość udziału w troskach drugiego. Jeżeli w polityce widzi się cel tworzenia ojczyzny na ziemi, to miłość konstruuje taką politykę – mającą u podstaw troskę o drugiego człowieka, daleką od tej, która służy wyłącznie interesom walczących elit.

Obowiązek solidarności powinien wyrażać postawę moralną i zarazem społeczną. Nie może to być tylko hasło, wezwanie do manifestacji, znak protestu czy potępienia. Co zatem tkwi w istocie tej podstawy życia społecznego? Kościół ujmuje ją jako normę społeczno-moralną, nakazującą solidarne współdziałanie ludzi i grup na każdym poziomie uspołecznienia – w rodzinie, państwie, społeczności międzynarodowej. Od przestrzegania zasad solidarności zależy rozwój i pokój na świecie. Musi zatem być ona stylem życia, sposobem bycia, wolą.

Obowiązek prowadzenia polityki. Nie chodzi tu o upolitycznienie wszystkich dziedzin życia, co zniszczyłoby humanizm osobowy i zniżyło człowieka tylko do gatunkowej egzystencji. Przy założeniu bezdyskusyjności demokracji, państwo ma troszczyć się o całość, to „konsekwencją osobistego obowiązku poszanowania dobra ogólnego jest udział w tym obowiązku każdego obywatela”. Antoni Bohm twierdzi, że obywatel ma obowiązek czuć się odpowiedzialny za politykę i nie tylko korzystać z prawa wyborczego, ale być gotowym oddać się do dyspozycji instytucjom demokratycznym. Brak udziału w życiu politycznym „dymisjonuje obywatela państwa”.

Obowiązek uczestniczenia w demokracji – to obowiązek polityczności. Nie chodzi tu o analogię marksistowską, czyli absolutną dyscyplinę partyjną, a o obowiązek zajęcia określonego stanowiska, wypowiedziania sądu, opowiadania się za „tak” lub „nie” lub kompromisem. Do zajęcia określonego stanowiska niezbędny jest obowiązek obrony wolności i obiektywności informacji.

Obowiązek uczestniczenia w kierowaniu demokratycznym państwem zawiera w sobie, odnoszący się do każdego obywatela, obowiązek współdziałania na rzecz obrony praw i sprawiedliwości. Jan Paweł II w przemówieniu na posiedzeniu Zgromadzenia Narodowego w 1979 r. powiedział, że w odniesieniu do ludzkości na dzisiejszym etapie historii właściwą racją bytu działalności wewnątrzpaństwowej czy międzynarodowej powinna być zasada – z „człowiekiem, przez człowieka i dla człowieka”.

Grzegorz Kabaciński

13 czerwca 1944 roku był wtorek. Tego dnia w domu przy ulicy Asfaltowej 17 zastrzelono dr Ludwika Widerszalę. Zamordowany uprosił morderców, aby darowali życie jego żonie, będącej wówczas w ciąży. Kazimierz Moczarski, któremu zamordowany podlegał w Biurze Informacji i Propagandy KG AK, udał się na ulicę Asfaltową. W „Relacji o przebiegu dochodzenia...” zanotował: „...byłem u Pani Widerszalej (...). „Pisarzyk” leżał już w łóżku (zastrzelono go w łazience) przykryty prześcieradłem. Odkryłem je. Miał ranę w przedniej części czaszki (zdaje się, że był to wyłot pocisku). Pani Widerszalewa zrelacjonowała przebieg najścia i scharakteryzowała morderców. Mała córka „Pisarzyka” – z przerażonymi oczami – słuchała rozmowy matki z mną. Obiecałem, że postaram się jak najszybciej dostarczyć urzędowe pozwolenie na dokonanie pogrzebu”.

Słowa dotrzymał. Uczynił to przez urzędnika placówki śledczo-kryminalnej policji, który działał w Kierownictwie Walki Podziemnej. Urzędnik ten nie tylko dostarczył potrzebne dokumenty, ale czuwał nad przebiegiem pogrzebu i bezpieczeństwem domu żony zabitego.

Tego samego dnia z domu przy ul. Jesionowej

o którym to pułku został dowódcą kompanii karabinów maszynowych w batalionie zapasowym.

Posiadał widać szczególne zdolności, gdyż znów zabrano go do pracy wywiadowczej. Został kierownikiem ekspozytury Oddziału II Dowództwa Okręgu Generalnego Łódź z siedzibą w Tomaszowie Mazowieckim. W 1920 roku został przeniesiony jako oficer do zadań specjalnych Oddziału II do Polskiej Ekspozytury Wojskowej na Ukrainie. Powrócił do Oddziału II DOG Łódź.

W latach 1923-1924 był referentem Wydziału Osad Wojskowych Ministerstwa Spraw Wojskowych. Osady takie tworzone na dawnych wschodnich kresach.

W 1924 roku powrócił do służby liniowej i odbywał ją w 14 Pułku Piechoty Ziemi Kujawskiej, który to pułk stacjonował we Włocławku. W lutym 1926 roku odszedł do rezerwy.

Powrócił do przerwanej nauki i w 1933 roku otrzymał dyplom inżyniera architekta na Politechnice Warszawskiej. Został specjalistą od budownictwa umocnień i budował takie dla Marynarki Wojennej na Oksywiu oraz na Helu. We wrześniu 1939 roku znalazł się w Dowództwie Obrony Warszawy.

Po kapitulacji Warszawy wstąpił do tajnej organizacji Służba Zwycięstwu Polski. Jego kandyda-

Pewnego dnia Kazimierz Moczarski „Rafał” i Aleksander Geysztor „Walda”, gdzieś w rejonie Kościoła na Koszykach, napotkali znajomego Kazimierza Moczarskiego „Bojowca z grupy Sudeczki”. W „Relacji o przebiegu dochodzenia...” zanotował Kazimierz Moczarski: „On wie o mnie tylko to, że jestem „swój” – facet z konspiracji”. Rozmawiam z nim w bramie przy ul. Wspólnej, w cztery oczy. „Walda” znajduje się w pobliżu. Słyszysz część rozmowy. I oto nagle w sytuacji, gdy byliśmy („Walda” i ja) już trochę zdeprymowani bezowocnymi dochodzeniami – ten bojowiec od Sudeczki mówi, że jego koleżdy zlikwidowali niedawno jakiegoś „profesora-masona” na Asfaltowej”.

Wiadomo już, kto zamordował. Teraz trzeba działać szybko. Kazimierz Moczarski włącza do akcji Stanisława Sękowskiego „Michała”, który działał w Kierownictwie Walki Podziemnej. Ten szybko ustala, że „Ludzie Sudeczki porwali małżonków Makowieckich i zamordowali Widerszalę”. Wątpliwości już nie ma. Ale dlaczego? Ludzie Sudeczki uważają, że zlikwidowali „agenta hitlerowskiego, profesora-masona czy Żyda”. Mało tego, „chcieli nawet sprzedać „Michałowi” teczki i pierścioneł, zabrane zabitemu”. Dysponują półcieżarówką, która ma „z tyłu pancerną blachę ze szcze-

Hipotezy, przypuszczenia, domysły (1)

Zdarzyło się 13 czerwca 1944 roku

11 nieznanymi sprawcy wprowadzili inż. Jerzego Makowieckiego i jego żonę Zofię z Neumanów. Wszelki ślad po nich zaginął. Dopiero następnego dnia (środa, 14.06.1944) nadeszła „wiadomość z kół Bezpieczeństwa Delegatury Rządu, że trupy małżonków Makowieckich znajdują się w prosekutorium na Oczki, że znalezione je na terenach Pola Mokotowskiego”. Informacje były mylne.

„...przeprowadziłem dochodzenie – pisze Kazimierz Moczarski – w domu przy ul. Jesionowej... u bezpośrednich sąsiadów Makowieckich. Świadczyłem czas pobytu mężczyzny (który zabrali Makowieckich), ich rysopisy, zachowanie się, ubiór, słownictwo, uzbrojenie oraz reakcje Mazowieckich itp. Ustaliłem tam dwie ważne okoliczności: właśnie te szczegółową charakterystykę fizyczną, intelektualną, gestową zamachowców oraz faktu, że w pobliżu willi, gdzie mieszkali Makowieccy, stało szare auto (chyba przerobione na półcieżarówkę) z tylną częścią szklaną. Tym autem wywieziono Makowieckich”.

Nadal nie było wiadomo, co się z nimi stało?

Kim byli zamordowani?

JERZY MAKOWIECKI urodził się 23 stycznia 1896 roku w Warszawie. Był synem Benedykta Dołęgi Makowieckiego i Bronisławy z Rosenfeldów. Wcześniej związał się z ruchem niepodległościowym. Został członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej. Ukończył szkołę podchorążych, nie ukończył natomiast studiów. Rzucił je po dwóch semestrach nauki w Politechnice Lwowskiej. Został zastępcą komendanta Okręgu POW Polesie, a następnie pracował w Komendzie Naczelnej POW.

W 1918 roku wziął udział w obronie Lwowa, po czym wstąpił ochotniczo do Wojska Polskiego. Został oficerem wywiadowczym i werbunkowym w Komendzie Obrony Kresów, która działała przy Grupie Operacyjnej gen. Antoniego Listowskiego. Służba w wojsku wymagała jednak pogłębionej wiedzy, ukończył więc Szkołę Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej, a następnie kurs oficerski w Szkole Karabinów Maszynowych w Dęblinie. Został skierowany do 30 Pułku Strzelców Kaniowskich, który stacjonował w Warszawie, w

turę do pracy w Oddziale Politycznym Dowództwa Głównego SZP zgłosił Mieczysław Niedziałkowski, były poseł z ramienia PPS, naczelny redaktor „Robotnika”. W październiku 1940 roku został szefem Wydziału Informacji w Biurze Propagandy i Informacji KG Związku Walki Zbrojnej, później Armii Krajowej. Był między innymi inicjatorem powołania Społecznej Organizacji Samopomocy i Rady Pomocy Żydom.

Przed wojną był współtwórcą Klubu Demokratycznego, a później Stronnictwa Demokratycznego. Był członkiem Rady Naczelnej i wiceprezsem ZG SD. Podczas okupacji nadal działał w SD, od maja 1943 roku był prezesem SD.

Przybrał nazwisko Jan Krzyżanowski i używał pseudonimów: „Dołęga”, „Kunciewicz”, „Mirewicz”, „Tomasz”, „Tomasz Malicki”, „Wokulski”. Podlegała mu między innymi komórka, która zajmowała się zbieraniem informacji w środowisku komunistycznym, kierował tą komórką artysta rzeźbiarz prof. Stanisław Ostoja-Chrostowski.

LUDWIK NIKODEM WIDERSZAŁ urodził się 24 czerwca 1909 roku w Warszawie. Był synem Adama Stanisława Widerszale i Reginy Eugenii z Krakowskich. Ojciec jego był urzędnikiem bankowym. Studia ukończył na Uniwersytecie Warszawskim, na Wydziale Humanistycznym. Po odbyciu służby wojskowej otrzymał stopień kaprala.

Był uczniem słynnego polskiego historyka Marcellego Handlmana. Przez pewien czas praktykował jako wolontariusz w Instytucie Historycznym UW, później podjął pracę jako urzędnik kontraktowy w Archiwum Oświecenia Publicznego. W 1935 roku przeszedł do pracy w Archiwum Akt Dawnych. Uzyskał stopień doktora filozofii, wydał kilka prac historycznych. Używał pseudonimów „Pisarzyk” i „Krysiński”. Działał również w konspiracyjnym Stronnictwie Demokratycznym.

Kto zamordował?

Nadal nie było wiadomo, co się stało z Zofią i Jerzym Makowieckimi. Ich zwłok szukało warszawskie Kripo, gdzie byli ludźmi związanymi z AK. Szukał ich Kazimierz Moczarski i Aleksander Geysztor w rejonie Jelonek, ale też bezskutecznie.

Dawna Łódź

Dał początek

Niepostrzeżenie minęła w lutym 150 rocznica śmierci **Rajmunda Rembielińskiego** – twórcy Łodzi przemysłowej. Był synem Stanisława, chorążego wiskiego, i Marcejaniny z Łączyńskich, kształcił się w Szkole Rycerskiej, służył wojskowo podczas insurekcji kościuszkowskiej, a potem zajmował się „wyłącznie urządzaniem dóbr swoich i ulepszeniem, o ile to być mogło, stanu rolników”. 19 grudnia 1807 r. został prefektem Rady Administracyjnej departamentu płockiego, a po miesiącu – prefektem departamentu płockiego. W 1816 r. powołany na stanowisko prezesa Komisji Województwa Mazowieckiego, realizował politykę rozwoju ekonomicznego kraju, prowadzoną skutecznie przez ministra skarbu Ksawerego ks. Druckiego-Lubeckiego.

Jednym z ważniejszych przedsięwzięć Rembielińskiego była poprawa stanu dróg w centrum kraju, m.in. rozbudowa traktu prowadzącego z Włocławka przez Łęczycę, Zgierz i Łódź do Piotrkowa. Tym właśnie traktem pewnego lipcowego dnia 1820 r. pan prezes udał się konno na objazd obwodowy łęczyckiego, by zwiedzić miejscowości, w których osiedlali się sukiennicy sprowadzani na mocy postanowienia namiestnika Królestwa z 26 marca 1816 r. „o osiedlaniu się przyjeźdźców cudzoziemców w Królestwie”. Zwiedzając Ozorków, kolonię należącą do Starzyń-

skich, Aleksandrów i Zgierz, udał się do Łodzi, miasta „także wśród borów i różnych koloniów położonego”. Czekal już nań Antoni Czarkowski, burmistrz od 19 lutego 1819 r., były oficer, niezłe sobie radzący na tym stanowisku. Po skontrolowaniu kasy miejskiej Rajmund Rembieliński odwiedził szkołę elementarną, dobrze utrzymaną, pochwalił nauczyciela, że zdolny i uczyniwszy, że do nauki chętni. Zgorszył się, choć ku liberynizmowi się skłaniał, postawą miejscowego proboszcza, który „z nalogu pijak i gorszących obyczajów, nigdy w tej szkole nauki religijnej nie daje. Już w roku przeszłym, po odbyciu urzędowym śledztwie przez Komisję Wojewódzką, arcybiskupowi doniesionym został. Skazał on go na rekolekcje, ale tych zapewne przez ulaskawienie konsystorza nie odsiedział, nalogu też pijactwa bynajmniej nie poprawił się”. Przy okazji wizyty prezes ponowił wniosek o ukaranie księdza.

Świderzywszy, że wylutowane osady fabryczne posiadają odpowiednie warunki dla rozwoju przemysłu włókienniczego, przedłożył namiestnikowi Królestwa Józefowi ks. Zajączkowski raport z odbytej podróży. Dzięki życzliwości władz sprowadził do Zgierza sukienników, a tkaczy bawelny do Łodzi. Osadzie nad Łódź i Jasienią poświęcił sporo uwagi. Pod jego okiem geometra wytyczył linie, podług których miało budować domy osadników. Linie te dały początek

ulicom, uwzględnionym już na planie Filipa de Viebiga z 1823 r. W instrukcji udzielonej burmistrzowi Łodzi **Karolowi Tangermanowi** 17 sierpnia 1826 r., nadal nazwy nowym ulicom miasta: „Ulica od cegielni miejskiej ku byłemu posiadłemu młynowemu Kula-mem zwanemu aż po Zawodę ciągnącą się nazywać się ma Widzewską (obecnie Kilińskiego – AK), ulica ponad granicę Choin poprzecznie względem ulicy Piotrkowskiej uformowana nazywać się ma Zarzewską (Napiórkowskiego), ulica od granicy wsi Rokicie nazywać się ma Wólka (Wólczńska)”.

Osada została wyposażona w liczne bielniki, folusze, magle, krochmalnie i płukarnie, zlokalizowane głównie przy posiadłach wodnych rzeki Jasień. Szybko postępowała zabudowa Nowego Miasta, osady Łódka i kolonii tkaczy lnu, nazwanej Śluzakami lub Szlezyn-giem. Jeszcze w 1809 r. Łódź miała 400 mieszkańców, jak wynika z informacji Jerzego Beniamina Flatta w jego „Opisie Księstwa Warszawskiego”, a już w 1820 r. mieszkało w Łodzi 767 osób, zaś na rok przed wybuchem powstania listopadowego 4896 mieszkańców stałych i z górą tysiąc ludności „przechodniej”. Przy ul. Emilii (Tymienieckiego) wzniesiono klasycystyczny budynek bielniaka, zaś po dwóch latach w podobnym stylu budowano okazały gmach ratusza przy Nowym Rynku.

Radość tworzenia zakłóciła przesowy krytyczna opinia Antoniego Halma, podważająca słuszność lokalizacji fabrycznego miasta na terenie niedostatecznie zaopatrzonego w wodę. W najsmielszych marzeniach nie spodziewał się Rembieliński tak dynamicznego rozwoju miasta, które 7 maja 1841 r. uzyskało prawa i prerogatywy należne miastom gubernialnym. Współtwórca Łodzi przemysłowej nie doczekał tego dnia, bowiem zmarł w Łomży 12 lutego 1841 r., przeżywszy 65 lat i pięć miesięcy.

Andrzej Kempa

Wczoraj nastąpiło otwarcie nowej kadencji ciał ustawodawczych. Weszliśmy w okres pracy czwartego Sejmu i trzeciego Senatu, w okres, którego znamieniem będzie rzetelna, pełna móżoła praca dla państwa, w pierwszym rzędzie naprawa ustroju państwowego... Gmach przy ulicy Wiejskiej ożywił się ponownie, w salach i kularach zapanał ożywiony, dawno już nie widziany ruch – donosił sprawozdawca parlamentarny „Gazety Polskiej” (10.12.1930), dziennika obozu rządowego.

Wybory parlamentarne (16 i 23 listopada 1930 r.), nazwane potem „brzeskimi”, zakończyły pewien etap w życiu politycznym II Rzeczypospolitej.

Komu potrzebny był kryzys gabinetowy?

Stosunki pomiędzy obozem rządzącym a opozycją parlamentarną uległy zaostrzeniu od wiosny 1930 roku. Już od jesieni 1929 r. opozycyjne partie lewicy i centrum (Polska Partia Socjalistyczna, Stronnictwo Chłopskie, Polskie Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie”, Narodowa Partia Robotnicza, Chrześcijańska Demokracja, Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast”) występowały na forum parlamentu w bloku zwanym Centrolewem.

W marcu 1930 r. doszło do kryzysu gabinetowego, który w jakimś stopniu został sprowokowany przez kierownictwo obozu rządzącego, a w każdym razie był przezeń umiejętnie spóżytkowany dla realizacji swego planu. Kiedy Sejm uchwalił zgłoszony przez socjalistów wniosek o wotum nieufności dla ministra pracy i opieki społecznej Aleksandra Prystora, wówczas cały rząd **Kazimierza Bartla** podał się do dymisji (15.03). Przesilenie gabinetowe, celowo przedłużane przez **Józefa Piłsudskiego** i jego współpracowników, trwało dwa tygodnie. Propaganda obozu rządowego starała się ten czas wykorzystywać do zdyskredytowania działaczy partii opozycyjnych i posłów, obciążając ich odpowiedzialnością za kryzys rządowy.

Po uchwaleniu przez Sejm budżetu (29.03), już w kilka godzin później **prezydent Ignacy Mościcki** powołał nowy rząd z premierem **Walerym Sławkiem**, którego uważano za przywódcę grupy pułkowników i zwolennika rządów silnej ręki. Jeszcze w ten sam sobotni wieczór na Zamku, pół godziny po podpisaniu dekretów nominacyjnych nowego rządu, prezydent podpisał dokumenty o zamknięciu sesji Sejmu i Senatu.

Prezydent zablokował obrady Sejmu

Działacze opozycji zaostrzyli krytykę systemu pomajowego, dążąc do decydującej rozgrywki z obozem rządzącym na forum parlamentu. Kiedy w miesiąc później posłowie „Centrolewu” przedłożyli stosowny dokument w sprawie zwołania sesji nadzwyczajnej Sejmu, prezydent **Ignacy Mościcki** wyznaczył posiedzenie izby na 23 maja. Jednak tego dnia korzystając z przysługujących mu uprawnień odrzucił sesję nadzwyczajną o trzydzieści dni, a 20 czerwca sesję zamknął.

Wobec zablokowania pracy parlamentu przywódcy opozycji stracili resztki złudzeń co do możliwości skutecznej walki na tym forum. W kraju coraz dotkliwsze stawały się skutki społeczne pogłębiającego się kryzysu gospodarczego, przede wszystkim wzrastające bezrobocie.

Punktem kulminacyjnym poczynań opozycji stał się kongres „Centrolewu” i wielki wiec w Krakowie 29 czerwca. Opozycja wzywała społeczeństwo do obalenia dyktatury **Józefa Piłsudskiego** i przywrócenia systemu parlamentarno-demokratycznego, domagała się ustąpienia prezydenta **Ignacego Mościckiego**, któremu zarzucano nadużywanie konstytucyjnych uprawnień głowy państwa dla celów politycznych obozu rządzącego. Przywódcy opozycji zaplanowali przeprowadzenie we wrześniu szerszej akcji w kraju i zorganizowanie masowego marszu protestacyjnego do Warszawy w celu wywarcia nacisku na władze państwowe i samego **Józefa Piłsudskiego**.

Ten zaś, poirytowany postawą przywódców opozycji, zaniepokojony możliwością poważ-

nej destabilizacji sytuacji w kraju, postanowił, po naradach z najbliższymi współpracownikami, przystąpić do kontrakcji. Po dymisji gabinetu **Walerego Sławka** sam został premierem rządu (25.08). W pięć dni później prezydent rozwiązał obie izby parlamentu, a równocześnie wyznaczył termin wyborów do Sejmu na 16 listopada 1930 r., zaś do Senatu – 23 listopada.

Opozycję zamknięto w Brześciu

Tymczasem 10 września Polska Agencja Telegraficzna ogłosiła komunikat urzędowy, w którym była mowa o aresztowaniu minionej nocy kilkuset osób byłych posłów rozwiązanego Sejmu. Czytelnicy gazet znaleźli na liście aresztowanych nazwiska wybitnych i popularnych polityków opozycyjnych, a wśród nich byłego (trzykrotnego) premiera **Wincentego Witosa**, przywódców PPS oraz innych partii „Centrolewu”, a także działaczy ukraińskich. Po pewnym czasie dopiero wyszło na jaw, że władze nie tylko nie troszczyły się o przestrzeganie prawa, ale przeciwnie, świadomie je łamały, dokonując aresztowań bez nakazu sądo-

Rok 1930: początek nowego okresu w dziejach polskiego parlamentaryzmu

„... ogłaszam Sejm za otwarty”

wego i bezprawnie osadzając zatrzymanych w więzieniu wojskowym w Brześciu nad Bugiem. Co więcej, aresztowanych potraktowano brutalnie, znęcając się nad nimi fizycznie i psychicznie. Potem nastąpiły dalsze aresztowania.

Pacyfikacja Małopolski Wschodniej

Od lata 1930 roku coraz głośniejszą dawała znać o sobie irredenta ukraińska. Gwałtownie nasiliła się antypolska działalność dywersyjno-sabotażowa Ukraińskiej Organizacji Wojskowej, a wobec rodzącej się wśród polskich ugrupowań nacjonalistycznych chęci odwetu zaistniała groźba wojny domowej na południowo-wschodnich obszarach państwa. Najwyższe władze państwowe nie mogły, rzecz jasna, tolerować takiej sytuacji, dlatego też **premier, Józef Piłsudski**, nakazał przywrócenie siłą spokoju w Małopolsce Wschodniej. Akcja pacyfikacyjna przeprowadzona przez policję i wojsko, przede wszystkim na wsi zamieszkałej przez ludność ukraińską, trwała od połowy września do końca listopada. Jej reperkusje na forum międzynarodowej opinii publicznej starała się wykorzystać przeciwko Polsce rewizjonistyczna propaganda niemiecka. To z kolei wzmocniło w społeczeństwie polskim poczucie zagrożenia państwa.

Klimat kampanii wyborczej do parlamentu kształtowały również tak dramatyczne wydarzenia jak starcia uczestników wieców i pochodów „Centrolewu” z siłami porządkowymi w wielu miastach, przy czym w Warszawie podczas manifestacji (14.IX) zginęły dwie osoby, a kilkadziesiąt odniosło rany.

Oboz rządzący poszedł do wyborów parlamentarnych pod hasłem naprawy ustroju i umocnienia państwa, eksponując istniejące zagrożenia wewnętrzne i zewnętrzne. Jego akcję propagandową wspierał sam **Józef Piłsudski**, który udzielił kilku wywiadów opublikowanych na łamach „Gazety Polskiej”. Starano się przekonać społeczeństwo, że wybory mają charakter plebiscytu, umieszczając nazwisko Marszałka Piłsudskiego na pierwszym miejscu list państwowej Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (BBWR). Administracja państwowa zaangażowała się w akcję organizacyjnej i propagandowej na rzecz Bloku, stosując różnorodne formy nacisku na społeczeństwo.

Ugrupowania „Centrolewu” wystąpiły w kampanii wyborczej jako **Związek Obrony Prawa i Wolności Ludu**. Jednak po szoku spowodowanym aresztowaniami nie zdołały one rozwinąć skutecznej, skoordynowanej akcji w kraju, nie nawiązały też współpracy z innymi blokami i orientacjami politycznymi. Poczyna-

nia opozycji w kampanii wyborczej były utrudnione, niekiedy wręcz paraliżowane, nie tylko z powodu represji lub nacisków ze strony władz, nierzadko nadużyć popelnianych przez nadgorliwych jej przedstawicieli, unieważniania list wyborczych czy też „cudów nad urną”. Wśród zwolenników opozycji widoczne były też objawy zniechęcenia.

Wybory

Wybory do Sejmu odbyły się w niedzielę 16 listopada 1930 r., przy dość wysokiej frekwencji (74,8 proc.), a do Senatu – tydzień później, tradycyjnie już przy nieco mniejszym zainteresowaniu społeczeństwa.

Przyniosły one sukces obozowi rządowemu. BBWR uzyskał 247 mandatów w Sejmie na 444 ogółem, dwukrotnie więcej aniżeli miał w minionej kadencji, oraz 75 mandatów w Senacie na 111 miejsc. Ugrupowania „Centrolewu” poniosły porażkę, zdobywając łącznie 97 mandatów w Sejmie czyli dwukrotnie mniej niż w poprzednich wyborach, w dodatku blok praktycznie rozpadł się. Natomiast Stronnictwo Naro-

dowe, także pozostające w opozycji, powiększyło niemal dwukrotnie stan posiadania uzyskując 62 mandaty w Sejmie. Reprezentantów swoich wprowadziły do izby poselskiej ugrupowania mniejszości narodowych – 33 mandaty oraz komuniści – 5, choć prowadzili akcję w najtrudniejszych warunkach.

Po wyborach nastąpiła zmiana rządu. Jak zanotował w swoim dzienniku gen. **Felicjan Sławoj-Składkowski**, na posiedzeniu Rady Gabinetowej w Prezydium Rady Ministrów (28.XI) **premier Józef Piłsudski**, „zaczął mówić od razu głosem wzburzonemu: »Pierwszą rzeczą, którą mam zakomunikować panom – podaję się do dymisji... Ja już poirytowałem się tak, że boję się z ludźmi rozmawiać... Szarpnąłem się silnie i już więcej nie mogę pracować«. Na premiera został wyznaczony prezes BBWR **Walery Sławek**.

W czwartek, 4 grudnia, Piłsudski zgodnie z zapowiedzią złożył dymisję rządu. Prezydent powołał nowy gabinet z premierem **Walerym Sławkiem**. Marszałek Piłsudski pozostał na stanowisku ministra spraw wojskowych, natomiast zrzekł się uzyskanych mandatów do Sejmu i Senatu.

Nowy Sejm – nowy okres polskiego parlamentaryzmu

Otwarcie obu izb nastąpiło we wtorek, 9 grudnia. Jak donosił z Sejmu sprawozdawca „Gazety Polskiej” tego dnia „... o godz. 12 w kularach rozległy się pierwsze dzwonki zwołujące posłów na dół do sali obrad(...) W ostatnich trzech ławach po lewej stronie zasiadają posłowie komunistyczni. Ławy na lewicy, przeznaczone dla klubów PPS, Stronnictwa Chłopskiego i Wyzwolenie oraz w centrum dla klubu ukraińskiego są puste. Od prawej strony pierwsze trzy rzędy wzdłuż zostały zajęte przez klub Stronnictwa Narodowego (...). Całe centrum przeznaczone dla 247 posłów BBWR”.

Jeszcze przed otwarciem posiedzenia wypełniły się galerie dla publiczności i łoża dziennikarska, zaś w łoży dla korpusu dyplomatycznego zajęła miejsce żona Marszałka, **Aleksandra Piłsudska**.

„O godz. 12 min. 10 na salę wchodzi członkowie rządu z p. premierem **Sławkiem** na czele, zajmując ławy ministerialne – relacjonował dalej dziennikarz – **P. premier Sławek wchodzi na trybunę i rozpoczyna odczytywać odczyt P. Prezydenta Rzeczypospolitej. W tej chwili trzech posłów komunistycznych wznosi okrzyk: »Precz z rządem dyktatury faszystowskiej«, »Precz z rządem wojny ze Związkiem Sowieckim«.**

Premier Sławek: »Proszę się uspokoić!«

Do p. premiera podchodzi minister spraw wewnętrznych gen. Składkowski i po krótkim porozumieniu wydaje podwładnym polecenie wprowadzenia na salę straży marszałkowskiej, celem usunięcia awanturujących się komunistów. Posłowie BBWR w odpowiedzi na okrzyki antypaństwowe powstają z miejsc i wnoszą długie nie milknące okrzyki na cześć Marszałka Piłsudskiego, rozlegają się huczne oklaski. Posłowie komunistyczni demonstrują dalej, wobec czego na salę wkracza straż marszałkowska i wyprowadza posłów [Stanisława] Burzyńskiego, [Wacława] Rożka i [Władysława] Daneckiego”.

Potem premier mógł już spokojnie odczytać odczyt prezydenta **Ignacego Mościckiego**, który za naczelną zadanie nowego parlamentu uznał zmianę obowiązującej konstytucji tzw. marcowej z 1921 r.

Na zakończenie **Walery Sławek** oświadczył: „W imieniu P. Prezydenta ogłaszam Sejm za otwarty. Porządek dzienny ustanowiony przez P. Prezydenta obejmuje ślubowanie poselskie i wybór marszałka. Przewodniczącym ze starszeństwa jest poseł **Andrzej Lubomirski BBWR**, który w mojej obecności złoży na ręce P. Prezydenta ślubowanie”.

Jak zauważył sprawozdawca prasowy „... w czasie odczytywania odczytu posłowie BBWR i cały rząd wstali, siedzieli natomiast posłowie endecy, ChD, »Piast« i NPR.”

Dopiero po objęciu przez posła **Lubomirskiego** przewodnictwa i złożeniu ślubowania przez sekretarzy weszli na salę obrad, pozostający dotąd demonstracyjnie na zewnątrz, inni posłowie opozycyjni – z PPS, PSL „Wyzwolenie”, Stronnictwa Chłopskiego i klubu ukraińskiego, by razem ze wszystkimi złożyć ślubowanie.

Następnie przewodniczący obrad zarządził wybór marszałka Sejmu przez głosowanie kartkami. Wobec aktualnego układu sił realne szanse wyboru miał jedynie kandydat klubu BBWR – **Kazimierz Świtalski**, były premier i jeden z najbliższych współpracowników **Józefa Piłsudskiego**. Kandydatura jego została wyznaczona na zebraniu Marszałka ze ścisłym kierownictwem obozu rządowego u prezydenta **Ignacego Mościckiego** już w dwa dni po wyborach sejmowych.

Tymczasem „w chwili gdy zaczęto rozdáwać posłom kartki – relacjonował dziennikarz – poseł [Zygmunt] Zaremba z PPS począł rozdáwać swoim kolegom kartki z nadrukiem »Brześć«. Kilka takich kartek rzucił on w stronę klubu BBWR wotując: »To dla was od nas na dzisiaj«.

Na ławach BBWR rozlegają się głosy: »Przyjdź Pan bliżej«, »Pajac, w teatrze się Pan tego nauczył«, »Gest jest dobry dla teatryku amatorskiego przy bengalskim ogniu«.

Wówczas na wniosek posła **Karola Polakiewicza** (BBWR) przewodniczący obrad zarządził głosowanie z listy. Po przerwie i obliczeniu głosów ogłoszono wyniki głosowania. Uczestniczyło w nim 407 posłów, przy czym ważnych głosów oddano 300. Marszałkiem Sejmu wybrano **Kazimierza Świtalskiego**, na którego padło 238 głosów, podczas gdy na jego kontrkandydata – **Aleksandra Zwierzyńskiego** ze Stronnictwa Narodowego – tylko 62. Pozostałe głosy były nieważne (107), ponieważ posłowie opozycyjni z centrum i lewicy oddawali kartki białe oraz z napisem „Brześć”. Klub BBWR powitał hucznymi oklaskami zwycięstwo swego kandydata. Ten zaś poprosił o przerwę w obradach, a następnie, po powrocie z Zamku, demonstracyjnie oświadczył, że za akceptacją prezydenta przyjmuje urząd marszałka Sejmu.

Kazimierz Świtalski w inauguracyjnym przemówieniu zadeklarował chęć prowadzenia polityki ścisłego współdziałania parlamentu z władzą wykonawczą, rezygnację z prawa do obrony aresztowanych posłów, nie omieszkał też wskazać na konieczność przeprowadzenia zasadniczych zmian ustrojowych i obowiązującej konstytucji.

Nowy marszałek Sejmu otwierał nowy rozdział polskiego parlamentaryzmu.

Paweł Samuś

Książki, czasopisma

Zatrzymać ulatujące

Gazeta – jak wiadomo – żyje jeden dzień. Żywoć owoców dziennikarskiego trudu nie jest dłuższy. Czasem ludzie zapamiętują jakąś wiadomość, jakiś artykuł, czyjeś nazwisko. Ale z czasem wszystko to zanika w pamięci, ulatuje. Historyk, gdy chce zatrzymać ulatujące, staje przed nie lada trudem. W Łodzi ten trud jest szczególnie rodzaju, tutaj bowiem brakuje najczęściej materiałów do poznawania przeszłości. Łódź nie ma rzetelnej monografii, pracę taką

zaczęto i skończyło się na pierwszym tomie. Nie powstała i chyba już nie powstanie encyklopedia Łodzi. Poszczególne badacze podejmują się penetracji różnych dziedzin przeszłości miasta, powstają książki, ale są to najczęściej prace fragmentaryczne, monografie jakichś dziedzin życia łódzkiego w najlepszym razie.

Kiedyś był taki zamiar, aby stworzyć słownik łódzkich dziennikarzy. Pomysł wyszedł od nieżyjącego już **Mieczysława Jagoszewskiego**. Wyszedł, uradował tego i owego i upadł. Wspomina o tym **Jerzy Wilmański** we wstępie do kolejnej edycji „Herbarza Łodzi Przemysłowej” – „Dziennikarze i publicyści”, który ukazuje się dzięki żmudnej pracy **Andrzeja Kempy**, który opracował biogramy, **Jerzego Wilmańskiego**, który napisał krótki i znakomity szkic o dziejach prasy w Łodzi oraz wydawcy i drukarza **Marka Szukalaka**. Warto jeszcze wspomnieć, że okładkę projektował **Andrzej Grun**.

Andrzej Kempa zebrał biogramy dziennikarzy nieżyjących, którzy w prasie polskiej pra-

cowali do 1939 roku. Ale jak sam przyznaje, musiał pominąć przeszło 40 biogramów dziennikarzy, którzy działali w tym okresie, ale dla opracowania ich biogramów zabrakło materiałów. Ulotność ich pracy nie uda się już zatrzymać.

Wspomniana tu praca ukazała się zaledwie w nakładzie 100 egzemplarzy, ale i za to dzięki autorom i wydawcy. Zachęcałbym do podjęcia pracy nad kolejnymi okresami z dziejów prasy w Łodzi: z okresu wojny 1939 – 1945 i z okresu powojennego po 1945. Przypominam, że na choćby przyczynek do dziejów czeka telewizja. Powojenne radio też nie ma należycie opracowanej historii, a ulotność tych środków przekazywania informacji jest oczywista. Trzeba zatem brać się do pracy, dopóki żyją ludzie, którzy początki telewizji w Łodzi jeszcze pamiętają.

Niestety, ale dzieje łódzkiej prasy, radia, a już niebawem i telewizji można będzie odczytywać z nagrobków na cmentarzach. Staraniem TPE ukazała się właśnie praca **Zbigniewa Piastki** pt. „W cieniu alei cmentarnych”. Jest to

przewodnik po Cmentarzu przy ul. Ogrodowej i Srebrzyńskiej. W przewodniku tym można znaleźć nazwiska dziennikarzy, którzy jeszcze przecież nie tak dawno pisali w łódzkich gazetach lub mówili przez radio. Są to – wymieniam tylko tych, którzy zmarli po 1945 roku: **Feliks Bąbel** (1986), **Arnold Borowik** (1982), **Bolesław Busiakiewicz** (1971), **Stanisław Chruszczewski** (1964), **Bolesław Dudziński** (1976), **Mieczysław Jagoszewski** (1987), **Jarosław Nieciecki** (1977), **Stanisław Rachlewski** (1945), **Kazimierz Rozmysłowicz** (1969), **Zbigniew Skibicki** (1980), **Jerzy Wyszomirski** (1955), **Eryk Zieliński** (1984). Wymieniam te nazwiska z całą świadomością, że wiele z nich nie już dziś nie tylko młodemu Czytelnikowi prasy łódzkiej nie powie. A szkoda! Byli to bowiem ludzie, którzy wiele swych sił oddali w służbie innym – Czytelnikom właśnie. A poza tym nie są to wszyscy, o których warto byłoby pamiętać.

Eugenisz Puchowicz

**GABINET
ODNOWY
BIOLOGICZNEJ**

95-100 ZGIERZ (NOWA
GDYNIA) ul. Chopina 23
tel. 16 36 28

rewelacyjna
metoda odchudzania

KOMPUTEROWY MASAŻ LIMFATYCZNY
DA CI SZCZUPŁĄ SYLWETKĘ!
- ODCHUDZAMY CAŁE CIAŁO, TALIE,
BIODRA, UDA, PLECY, RAMIONA

Krem odchudzający jest wcierany metodą masażu
klasycznego

- ⊙ Prowadzimy dokładne pomiary miejsc odchudzanych
- ⊙ Gwarantujemy wyszczuplenie sylwetki od 1 do 3 cm po jednym zabiegu i znakomity relaks.
- ⊙ Zapraszamy na elektrostymulację (ujędrnianie piersi, mięśni)
- ⊙ Sauna
- ⊙ Masaż klasyczny
- ⊙ Solarium - turbo

WYSOKA JAKOŚĆ

**Mebłe biurowe i komputerowe
polskie i włoskie.**

Krzesła i fotele, kalkulatory
po cenach promocyjnych

- w przedsiębiorstwie zagranicznym „Danio”,
Łódź, Sienkiewicza 3/5.

Tel. 33-88-17; fax 33-05-78; tlx 884221

**Firma
„Maria-Deniz” – „Öz Varol”**

Zaprasza
do Turcji w każdą sobotę
Atrakcyjne wczasy
nad Morzem Egejskim

Ceny konkurencyjne
Tel. 33-44-30, 88-11-58



Uwaga hurtownicy i detaliści

Duńskie naturalne syropy
„BONANZA” w różnych smakach:
kiwi, mango, ananas, malina w
efektywnych kartonikach 1 l syropu
na 4 l napoju. Preferowane przez
Sanepid - atest.

Bezpośredni i wyłączny importer
Firma „EAST-WEST”,
tel. 78-38-65, tlx 884157, fax 740221.
Magazyn - Łódź, ul. Uprawną 5,
czynny 8-20, tel. 55-80-63,
56-06-15 lub 32-73-50.

PRAWDZIWIY DOM • PRAWDZIWIY DACH



**WŁOSKIE DACHÓWKI BITUMICZNE
NAJNOWSZEJ
GENERACJI**

Powiązanie najlepszych tradycji
z nowoczesną technologią:

- kolorowe • lekkie • elastyczne • szczelne
- mrozo- i ognioodporne • łatwe w montażu
- nie wymagające konserwacji

Stoiska informacyjne:

- Łódź, ul. Zamenhofska 1/3, tel. 32 66 82
- Warszawa, ul. Bartycka 26 (Salon „Budexpo”), tel. 40 46 74 w. 244
- Wrocław, ul. Oławska 2, tel. 44 46 93
- Kraków, ul. Mickiewicza 31, tel. 33 66 84

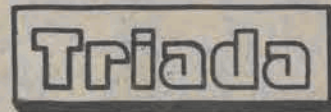
Ponadto oferujemy:

- okna dachowe obrotowe • wentylatory dachowe • płyty dachowe
- ocieplające • sklejki wodoodporne • folię izolacyjną • wykładziny gumowe
- (garażowe, tarasowe) • wykładziny dywanowe • armaturę łazienkową

oraz uniwersalne kioski handlowe

- wykonywanie dachów wentylowanych i renowację dachów płaskich

Montaż
układanie



10 lat
gwarancji

90-430 LODZ-POLAND - Zamenhofska 1/3 str.
phone 32 66 82 fax 37 29 94 tlx 884479

Firma SERTAL posiada w ciągłej sprzedaży

NA RATY!!!



- Pralki, lodówki, zamrażarki
- Telewizory i wideo „Sony”, „Samsung”, „Philips”, „Panasonic”
- Sprzęt gospodarstwa domowego
- Oświetlenie
- Elektronarzędzia, pompy wodne, hydrofony
- I wpłata 20% na 12 rat
- Hurt i detal w firmie „SERTAL” pawilon Łódź, ul. Franciszkańska 99, tel. 57-60-47

HURTOWNIA EXPORT-IMPORT



Łódź
ul. Rzgowska 2a

tel. 84-52-26,
81-50-93

POLECA:

1. *Odzież (bluzki, swetry, skarpety)*
2. *Zabawki*
3. *Wózki z pozytywkami - 2 rodzaje*
4. *Papier ozdobny (folia)*
5. *Biżuterię*
6. *Dzianiny krajowe*
7. *Inne wyroby z:*

Korei, Chin, Turcji, RFN, Szwecji

Zapraszamy w godz. 8.00-18.00

**Życzymy
udanych zakupów**

**REKLAMA w „ODGŁOSACH”
TO REKLAMA PRZEZ
CAŁY TYDZIEŃ!**

Tygodnik „ODGŁOSY” oferuje usługi
w zakresie reklam

PROMOCYJNE CENY

Reklamy na kolumnie ogłoszeniowej (ceny podstawowe):

6 tys. zł za 1 cm²
cała strona (1000 cm²) - 6 mln zł
minimalna powierzchnia ramki 25 cm²
ogłoszenia drobne - 3 tys. zł
za słowo

Reklamy na pierwszej stronie - 50% dodatku (powierzchnia
nie większa niż 150 cm²), na innych stronach niż kolumny
ogłoszeniowe - 30% dodatku

Proponujemy także nowy atrakcyjny rodzaj reklamy w formie artykułów
pisanych przez naszych dziennikarzy. Rodzaj publikacji, jak też opraco-
wanie graficzne uzgadniamy z kontrahentami.
Koszt tej reklamy:

- całostronnicowa - 10 mln zł
- półstronnicowa - 6 mln zł
- ćwierćstronnicowa - 4 mln zł

Wykonujemy opracowania graficzne reklam - przy reklamie
całostronnicowej 10% dodatku, pozostałe 25 & dodatku.

Reklamy przyjmowane są w siedzibie redakcji:
Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, XI piętro, pokój 1103, tel. 36-52-44
oraz w tygodniku „Agora”, Piotrkowska 94 tel. 32-61-79 p. nr 11.
Forma płatności do uzgodnienia.

SOBOTA

22 czerwca
PROGRAM I

9.00 Wiadomości poranne
9.10 „5-10-15” – program dla dzieci i młodzieży oraz film z serii „Było sobie życie”
10.35 Język angielski dla dzieci
10.40 „Na zdrowie” – program rekreacyjny
11.25 Telewizyjny koncert życzeń
11.55 Aktualności telegazety
13.30 U siebie – magazyn mniejszości narodowych
14.00 Walt Disney przedstawia
15.45 Z Polski rodem – magazyn polonijny
16.45 Rokendroler – program polskiej muzyki rockowej
17.15 Teleexpress
17.35 Tele-audio-video
18.20 Butik
18.50 Z kamerą wśród zwierząt
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 W poszukiwaniu deszczowego drzewa, (2) – film fabularny prod. USA
21.35 Inni ludzie – dwie ojczyzny – film dokumentalny
22.05 Sportowa sobota
22.35 Wiadomości wieczorne
22.55 Standardy jazzowe – duo Dutkiewicz i Szukalski
23.15 Sędzia z Teksasu – film fab. prod. USA

PROGRAM II

7.55 Telewizja śniadaniowa
11.05 Tacy sami
11.25 Dookoła świata
11.55 Video-junior
12.25 Klub Yuppies oraz film „Przygody Supermana”
13.25 Zwierzęta świata
13.55 Warszawskie spotkania muzyczne
14.25 Ze wszystkich stron
15.00 Zezem – Jan Tadeusz Stanisławski
15.30 Santa Barbara
17.00 Studio tajemnic
17.30 Wrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Wielka gra
19.30 Galeria „dwójki”
20.00 „Hale i Pace” – angielski program rozrywkowy
20.30 Koncert świętojański
21.30 Panorama dnia
21.45 Słowo na niedzielę
21.50 „Riby” i „Oswald” – film fab. USA
23.10 CNN

NIEDZIELA

23 czerwca
PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Teleranek oraz film z serii „Kamienna tablica”
10.25 Język angielski dla dzieci
10.30 „Przygody roślin” – serial dokument.
11.00 Notowania, czyli co się oplaca rolnikowi
11.25 Wojskowy magazyn publicyst.
11.50 Koncert Mieczysława Horszowskiego w Carnegie Hall w Nowym Jorku
13.10 Teatr dla dzieci: Hugh Lofting „Niezwyczajne przygody doktora Dolittle i jego przyjaciół”
14.05 Telewizyjny koncert życzeń
14.35 Magazyn „Morze”
15.00 Studio-sport, finał pucharu Polski w piłce nożnej
16.50 „Telewizjer”
17.15 Teleexpress
17.30 Telewizyjny teatr rozmaitości – Eugene Labiche „Szczęśliwi we troje”
18.35 Circom regional prezentuje

19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Maria Curie”, (2) serial prod. polsko-franc.
21.40 „7 dni – świat”
22.10 Sportowa niedziela
22.40 Wiadomości wieczorne
22.55 Rewizja nadzwyczajna – program T. Baliszewskiego

PROGRAM II

7.45 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
8.20 Film dla niesłyszących „Maria Curie” (2)
9.50 Powitanie
10.00 CNN
10.10 Jutro poniedziałek
11.00 Dawnych wspomnień czar z Karoliną Lubińską
12.00 Mistrzowie współczesnego kina – Witold Adamski
12.30 Express dimanche
13.00 Polska kronika filmowa
13.10 „100 pytań do...”
14.15 Kino rodzinne: „Namiot”
15.10 Muzyczna antena „5”
15.35 „Polacy” – film dok.
16.00 Podróże w czasie i przestrzeni
17.00 Studio sport
17.30 Bliżej świata
18.30 Za chwilę dalszy ciąg programu
19.00 Wydarzenie tygodnia
19.30 Galeria dwójki
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego
21.00 Wrocław na antenie „dwójki”
21.30 Panorama dnia
21.45 Miłość matki (4)
22.40 „Polska baba” – magazyn Danuty Rinn
23.40 CNN

PONIEDZIAŁEK

24 czerwca
PROGRAM I

16.10 Aktualności telegazety
16.15 Program dnia
16.20 Studio sport – mistrzostwa Europy w koszykówce mężczyzn (Bułgaria-Polska)
17.05 Video-top
17.15 Teleexpress
17.35 Encyklopedia II wojny światowej
18.00 „Business po francusku”
18.10 Kupić nie kupić
18.30 „Alf” (14) – serial prod. USA
18.55 Świat w oczach Lema
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr TV – Juliusz Słowacki „Maria Stuart”
21.40 „Inni ludzie” – reportaż o Grabarce – miejscu modłów prawosławnych
22.15 Zawsze po 21-szej – magazyn reporterów
23.00 Wiadomości wieczorne
23.15 Ring-rock in Gospel

PROGRAM II

16.45 Powitanie
17.00 Czas akademicki – katolicki magazyn młodz.
17.30 „Kusza” – serial prod. USA
18.00 Program lokalny
18.30 Przegląd kronik filmowych
19.00 Ojczyzna – polszczyzna
19.15 Zapraszamy do dwójki
19.30 „Chopiniana”
20.00 „Mój świat” – Bernard Marquerrite
20.30 „Bez emocji” – adopcje zagraniczne
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 „Wszystkim, których kochałem” (8-ost.) – ser.
22.55 Rozmowy o cierpieniu
23.10 CNN

WTOREK

25 czerwca
PROGRAM I

8.00 Dzień dobry – magazyn rozmaitości

9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie najmłodszych ze smokiem
9.35 Kino teleferii „Przygody misia Ruxpina”
10.00 Inspektor Gadget – serial ameryk.-franc.
10.25 Gotowanie na ekranie
10.50 Film „Do latarni morskiej” (2-ost.)
11.55 Aktualności telegazety
17.00 Program dnia
17.05 Video-top
17.15 Teleexpress
17.35 Laboratorium – „Próżnia”
18.00 „10 minut”
18.10 „Aleksander Patkowski” – film dok.
18.40 W Sejmie i Senacie
19.00 Skarbonka Jacka Kuroń
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Do latarni morskiej” (2-ost.) – film ang.
21.00 Listy o gospodarce
21.35 Telemuzak
22.15 Wiadomości wieczorne
22.30 Studio sport
23.15 Rozmowy intymne
23.40 BBC

PROGRAM II

7.55 Telewizja śniadaniowa
8.10 Język niemiecki
8.40 Santa Barbara
10.00 CNN
16.45 Powitanie
17.00 „Nowa” – (6-ost.) serial dok. USA
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 „Seans filmowy” – program Ewy Banaszkiewicz
19.30 „Z ziemi polskiej” – film dok.
20.00 „Schronienie” – francuski film dok.
21.00 Wywiady Ireny Dziedzic
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio sport
21.55 „Godziny nadziei” – film polski
23.25 CNN

ŚRODA

26 czerwca
PROGRAM I

8.00 Dzień dobry – poranny magazyn rozmaitości
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie
9.35 Kino teleferii: „Jeden rok w pewnej szkole” (22-ost.)
10.00 Inspektor Gadget – serial animow. franc.
10.50 „Dynastia” – serial
11.40 Aktualności telegazety
17.00 Program dnia
17.05 Video-top
17.15 Teleexpress
17.35 System – publicystyka ekonomiczna
18.00 Business po francusku
18.10 Klinika zdrowego człowieka
18.30 Skarbiec – magazyn historyczny
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Dynastia
20.55 Program publicystyczny
21.25 Studio sport
22.10 Wiadomości wieczorne
22.25 Art – magazyn B. Dykusińskiej
22.45 Rozmowy z Nikodemem
23.15 BBC

PROGRAM II

7.55 Telewizja śniadaniowa
8.45 „Czterdziestolatek” (21-ost.)
16.45 Powitanie
17.00 „Engafement” – film prod. polskiej
18.00 Program lokalny
18.30 M.A.S.H. (7)
19.00 Kadr
19.30 Polska pieśń artystyczna
22.00 „Świat przedstawiony” – magazyn literacki
20.30 Teatr Howarda Barkera
20.50 Punkt widzenia
21.30 Panorama dnia

21.45 „Bilans” – rozmowa z wicepremierem L. Balcerowiczem
22.00 „W labiryncie”
23.30 Studio sport
22.40 „997”
23.40 CNN

CZWARTEK

27 czerwca
PROGRAM I

8.00 Dzień dobry
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Kino teleferii: „Janka” (1,2) – serial
10.10 Inspektor Gadget
10.35 „Po sześćdziesiątce” – program dla wszystkich
10.55 „Bergerac” (5)
11.45 Aktualności telegazety
17.00 Program dnia
17.05 Video-top
17.15 Teleexpress
17.30 Prawo prawa
17.45 Podróże na kresy
18.10 Klinika zdrowego człowieka
18.15 Magazyn katolicki
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Bergerac” (5)
21.00 „Pegaz”
21.45 Wiadomości wieczorne
22.00 Opole 91 – „Rock Opole”

PROGRAM II

7.55 Telewizja śniadaniowa
8.40 W labiryncie
9.10 Teleklinika dr Anatolija Kaszpirowskiego
10.00 CNN
16.45 Powitanie
17.00 Teleklinika A. Kaszpirowskiego
17.30 Magazyn ekologiczny
18.00 Program lokalny
18.30 „Cudowne lata”
19.00 Magazyn „102”
19.30 Z ziemi polskiej – film dok.
20.00 Studio sport
21.00 Express reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 Studio teatralne dwójki – Jerzy Andrzejewski „Już prawie nic”
23.10 CNN

PIĄTEK

28 czerwca
PROGRAM I

8.00 Dzień dobry
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie
10.30 Szkoła dla rodziców
10.55 „Chłopi” – 13-ost.
11.45 Aktualności telegazety
17.00 Program dnia
17.05 Video-top
17.15 Teleexpress
17.35 Raport
18.00 Business po francusku
18.10 „Chłopi”
19.00 Express gospodarczy
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Miasteczko Twin Peaks”
21.00 Opole 91 – Debiuty
22.20 Wiadomości wieczorne
22.35 Niepokonani – film dok.
23.50 Weekend w „jedyńce”
24.00 BBC

PROGRAM II

7.55 Telewizja śniadaniowa
8.40 Santa Barbara
16.45 Powitanie
17.00 „Pieskie dni Artura Cane” – film USA
17.50 Za kierownicą
18.00 Program regionalny
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio sport
21.55 „Lekarze bez fartuchów” – serial. ang.
22.50 „Obrazy, słowa, dźwięki”
23.50 CNN
0.05 „Noc z anteną 5” – program nocny z Wrocławia

Fabryczny
Punkt
Sprzedaży

Łódź, ul. Wieniawskiego 70a,
tel. 48-73-84

prowadzi
sprzedaż samochodów
FIAT 126 p

Sprzedaż na raty
w miesiącu czerwcu

OKAZJA!

Zakład
Usług Poligraficznych

„WISS”

Gałkówek ul. Mickiewicza 22 ☎ Łódź 84-44-83

POLECA

usługi w zakresie:

druków-reklamowych • firmowych • etykiet • wizytówek • opakowań • prac artystycznych, wg projektów własnych i powierzonych, do formatu B2.

Również małe nakłady

ZAPRASZAMY

KEMA
LTD • SP.ZOO.

w Piotrkowie Trybunalskim ul. Wierzejska 64

OFERUJE do sprzedaży

urządzenia chłodnicze do małej i dużej gastronomii oraz masarni produkcji szwedzkiej wykonane z blachy niklowanej, polerowanej z agregatami chłodniczymi firmy „DAN-FOSS”

wyposażenie w stoły i regały z blachy nierdzewnej w dowolnych wymiarach

**CENTRUM,
A TANIO!!!**

Hurtownie „ANGRA”, WOŁODIA”

polecają

◆ ekskluzywną odzież importowaną i najlepszych producentów polskich,
◆ obuwie,
◆ biżuterię, zegarki,
◆ szeroki wybór tkanin importowanych (kresz, taktly, lycra, wiskoza, hant, mikrofasa, szantung, szyfon, welur gładki, welur drukowany i inne.

Łódź, ul. Wschodnia 76, tel. 32-19-76

ZAPRASZAMY DO NAS
I ŻYCZYMY UDANYCH ZAKUPÓW



● W Łodzi zlikwidowano 43 przedszkola. Decyzja zapadła. Tylko rodzice ze zlikwidowanych przedszkoli pytają: – dlaczego nasze? Pytanie nie jest bez racji. Likwiduje się na przykład pięknie położone przedszkole nr 116, przy ul. Grabieniec, a zostawia inne przy pełnej spalin i hałasu ulicy Rojnej. Sprawdziliśmy w kilku likwidowanych przedszkolach, nie było tam żadnych komisji, nikt nie interesował się realiami. Radnym wystarczyły papiery przygotowane przez urzędników. Dzieci przydzielano do innych przedszkoli mechanicznie. I na dodatek chwalono się, że to było m o d e l o w e rozwiązanie. Kto ma z tego brać przykład?

● Najwięcej emocji budzi zajmowanie się w Radzie Miejskiej zmianami nazw ulic. Stuchaczka „Radioranka” zapytała, czy przy braku pieniędzy – na przykład – na oświatę rozsądnie jest zmieniać nazwy aż tylu ulic? Radni widzą „Radiorankę” nie słuchając, bo na ostatniej sesji toczyli zażarty spór o to, czy św. Jerzy nadal jest święty, czy też nie, bo był przecież odwołany. Zastanawiano się też nad tym, którego dokładnie świętego imię nosi ta czy inna ulica. Ustalono, że mamy ulicę św. Antoniego Padewskiego, a nie żadnego innego, św. Franciszka z Asyżu i tak dalej. Zrobiono kawał dobrej roboty. Przy okazji tylko zarzucono przewodniczącemu odnośnej komisji, Lucjanowi Muszyńskiemu, że prymitywizuje i fałszuje historię. Bronił się z takim patriotycznym i religijnym zaangażowaniem, że niektórzy radni opuścili salę z niesmakiem.

● W „Fonice” strajk bezterminowy. Załoga nie otrzymała plac za maj, fabryce grozi upadek. Przewodniczący zakładowej „Solidarności”, Leszek Siński zapytał, jak to się dzieje, że dla załogi nie ma pieniędzy, a minister przemysłu Andrzej Zawisła i urzędnicy ministerstwa pensje otrzymują. A przecież formalnie są właścicielami tej fabryki. I innych też. Podejrzujemy, że jak już upadnie cały przemysł państwowy, ministerstwo nawet tego nie zauważy.

● Był też strajk w „Wifamie”. Załoga również otrzymała tylko zaliczki zamiast plac. Ministerstwo Przemysłu znalazło się i poprosiło o listę pracowników do... resortowych odznaczeń. Komitet Strajkowy z burzeniem odpowiedział, że to nie czas na takie sprawy. Jest w błędzie. Mądrość ministerstwa jest wielka. Jak już nie będzie „Wifamy”, to pozostaną pamiątkowe znaczki.

● Ukradli kamień. Leżał w miejscu, gdzie ma powstać Filharmonia Łódzka, o czym informowała stosowna tabliczka. Muzeum Kinematografii przewiozło kamień na muzealny dziedziniec. Kierowano się przekonaniem, że kamień jest zabytkowy, a więc powinien być w muzeum, bo w Łodzi filharmonii i tak nigdy się nie zbuduje. Społeczny Komitet Budowy Filharmonii jest innego zdania i domaga się zwrotu kamienia. Muzeum na to: – nie oddamy. Spór o kamień trwa.

● Zarzut radnej prof. Zdzisławy Janowskiej, jakoby Rada Miejska za często zajmowała się sprawami własnymi i drobnymi, nie odpowiada całkowicie prawdzie, bowiem „w temacie” diet zapadła dopiero czwarta uchwała. Obecnie zasadnicza dieta wynosi 42 tys. 500 zł., a dieta przewodniczącego komisji jest 2,5 raza większa.

● Spór o to, czy Peter von Scheibler jest prawdziwy, czy nie, został rozstrzygnięty. Potomek innej łódzkiej rodziny fabrykanckiej, Jerzy Grohman, który początkowo zarzucał Peterowi von Scheiblerowi, że nie pochodzi z rodziny Karola von Scheiblera, odwołał pierwotną opinię. Uznał, że jest to prawowity potomek łódzkiego fabrykanta. Potomkowie łódzkich tkaczy odetchnęli z ulgą. Z drogi do kapitalizmu usunięto kolejną przeszkodę!

● W środę (12.06) komentator sportowy telewizyjny „Wiadomości” tylko opowiedział, co działo się na trasie I etapu kolarskiego II Wycisku „Solidarności”. Następnie pokazał końcówkę kolejnego etapu „Giro d'Italia”. Czyżby szefowi działu sportowego TVP, Markowi Madejowi nie podobał się nasz głęboko słuszny wyścig?

● W „Uniwersalu” wprowadzono sprzedaż ratalną. Wielu klientów kupowało na raty radia, telewizory, magnetowidy. Byli i tacy, którzy na raty kupowali buty.

● Kto komu ukradł licencję? Idzie o zapewnienie udziału zwyciężczyni konkursu na najpiękniejszą Polkę w imprezie „Miss World”. Szef spółki „Miss Polonia”, Piotr Sawicki jest zdania, że posiada oryginalną, który nosi w „czarnej teczkę”. Spółka „Miss Land” rozstała kserokopie licencji do wielu redakcji. Dla nikogo nie powinno być tajemnicą, że chodzi tu o wielkie pieniądze. W takiej grze wszystkie chwytaki są dozwolone. Spółka „Miss Land” wyzywa spółkę „Miss Polonia” od „felietonistów, byłych właścicieli Polskiej Ludowej i Komitetu Warszawskiego PZPR”. Co teraz wymyśli spółka „Miss Polonia”?

● Tygodnik „Wprost” opublikował listę 100 najbogatszych Polaków. Są na niej trzej łódzianie: Michał Kropidłowski, Janusz Baranowski i Krystyna Sicińska-Lalmi. Zajmują oni dość dalekie miejsca. Gdyby jakie pismo opublikowało listę najbiedniejszych Polaków, Łódź byłaby bezsprzecznie w czołówce.

B.M.

Jesteśmy partią pragmatyków

Z zadowoleniem witam powrót „Odgłosów” na łódzki rynek wydawniczy. Pragnę poinformować Waszą Redakcję o zawiązaniu się w Łodzi Oddziału Partii „X”. Jest on reprezentowany tymczasowo przez pięcioosobowy Komitet Założycielski, którego jestem członkiem.

Na pierwszą połowę lipca planujemy zorganizowanie I Regionalnego Kongresu Partii „X” w Łodzi. Spodziewamy się obecności przywódcy partii pana Stanisława Tymiańskiego. Komitet Założycielski zajmuje się obecnie pracą organizacyjną. Przygotowujemy też grunt pod przyszłą działalność polityczną, którą podejmie Reprezentacja Regionalna jako organ statutowy, wybierany przez Kongres większością 2/3 głosów.

Centralnym organem prasowym naszej partii jest „List X”. Członkowie i sympatycy otrzymują go w prenumeracie w ramach opłaconej składki członkowskiej. Posiadamy pewne nadyżki do wolnej sprzedaży.

Członkiem lub sympatykiem Partii „X” może być każdy pełnoletni obywatel RP, który podpisze deklarację i opłaci składki. Deklaracja i uchwały I Krajowego Kongresu określają

Oświadczenie pracowników „Głosu Porannego”

My, niżej podpisani pracownicy „Głosu Porannego” oświadczamy, że utraciliśmy zaufanie do redaktora naczelnego – Gustawa Romanowskiego – i żądamy jego natychmiastowego odwołania.

Koncepcja prowadzenia gazety zaprezentowana przez G. Romanowskiego prowadzi do jej upadku, czego symptomy są już widoczne. Nie akceptujemy polityki kadrowej, prowadzonej jednoosobowo przez redaktora naczelnego. Przynosi ona fatalne skutki, dezorganizując pracę redakcji, prowadzi do antagonizowania pracowników, obniżenia poziomu gazety, utraty czytelników, a w rezultacie do załamania wyników ekonomicznych i pozycji rynkowej „Głosu”.

Nasz sprzeciw budzi sposób traktowania zespołu i stosunek redaktora naczelnego do pracy w redakcji, w której faktycznie jest gościem. G. Romanowski w ostatnim czasie doprowadził do zantagonizowania znacznej części zespołu, pragnąc tym samym osiągnąć jemu tylko znane cele.

Zła atmosfera w redakcji osiągnęła apogeum w momencie ogłoszenia przetargu na „Głos Poranny”. Już wtedy redaktor naczelny zdecydowanie opowiadał się za ofertą firmy, która w końcu nie wzięła nawet udziału w przetargu. Do swego stanowiska chciał przekonać innych, stosując kompromitujące go metody. Według naszej oceny, sposób prowadzenia negocjacji z grupą Bauer Verlag, która wygrała przetarg na kupno naszej gazety, musiał doprowadzić do ich zerwania!

W interesie gazety usiłowaliśmy dojść do po-

Na bruk

(w Głównie)

Piszemy do „Odgłosów”, gdyż dzieje nam się krzywda i nie ma nikogo, kto chciałby nam pomóc. Jesteśmy pracownikami filii ZPDZ „Lido” w Głównie. Właścicielami to należałoby powiedzieć – byliśmy pracownikami, ponieważ od czerwca jesteśmy na wymówieniu. Powód jest podobny, jak i gdzie indziej: zwolnienia grupowe, spowodowane gwałtownym pogorszeniem się sytuacji finansowej zakładu. Jeszcze w grudniu ub. roku zarabialiśmy całkiem nieźle; robiliśmy „przeroby” do Danii i Holandii. Krach nastąpił w styczniu. W efekcie placę spadły przeciętnie o pół miliona złotych! W następnych miesiącach wcale się nie poprawiło, nastąpiła stagnacja. Nie ma zamówień, nie ma więc produkcji i niskie są nasze zarobki. Średnia placę wyniosła około 700 tys. zł miesięcznie. Czy można za to żyć?

Dyrekcja, szukając oszczędności, sprzedaje co się da: nawet lodówki, wyposażenie gabinetu lekarskiego, książki z biblioteki i sprzęt kolonijny. W końcu przyszła kolej i na nas. Właściwie, to znalazłyśmy się w trzeciej grupie zwolnionych, gdy dyrekcja doszła do wniosku, że należy się pozbyć całej zmiany. Początkowo próbowano zresztą te zwolnienia ukryć. Nieco wcześniej doszło już dwukrotnie do zwolnień: raz 10, a potem 21 osób. Wbrew prawu, nie zgłoszono

CZYTELNICY PISZĄ

W rubryce tej zamieszczamy teksty zawierające poglądy lub opinie, które redakcja nie zawsze podziela

pryncypia ideowe i moralne, które musi akceptować członek Partii „X”. Poza tym nie interesujemy się światopoglądem ani wyznaniem naszych członków i sympatyków. Jesteśmy partią pragmatyków o nastawieniu patriotycznym. Za pierwszoplanowy cel naszej działalności stawiamy sobie przywrócenie Polsce pełnej suwerenności ekonomicznej i politycznej. Chcemy to osiągnąć poprzez jak najszybsze zahamowanie regresu gospodarczego i wprowadzenie naszej gospodarki na drogę rozwoju. Chcemy tak przekształcić system ekonomiczny, aby ludzie pracy mogli godnie zarabiać i żyć. Wiemy jak tego dokonać. Reprezentacja Krajowa naszej partii opracowuje program, który nie będzie tylko zbiorem haseł i pobożnych życzeń. Będzie on bowiem uzupełniony szczegółowym planem realizacyjnym. Kongres Krajowy upoważni też Reprezentację Krajową do sformowania gabinetu cieni – odzwzorowującego Rząd RP.

Zgłaszają się do nas przedstawiciele różnych

grup środowiskowych oraz organizacje społeczne z wnioskami i propozycjami. Jesteśmy otwarci na każdą propozycję, której celem jest praca dla Polski. Partia „X” utrzymuje się wyłącznie ze składek członków i sympatyków oraz darowizn krajowych. Kategorycznie odrzucamy możliwość przyjmowania środków pieniężnych z zagranicy.

Z wyrazami szacunku

Włodzimierz Kusik
– członek Komitetu Założycielskiego Partii „X” w Łodzi

P.S.

Informuję, że osoby powołujące się na pełnomocnictwo pana Stanisława Tymiańskiego lub Reprezentacji Krajowej Partii „X”, upowazniająca do organizowania partii – są oszustami.

Nikt na terenie całego kraju nie otrzymał takiego pełnomocnictwa.

rozumienia z red. G. Romanowskim i na ostatnim zebraniu zespołu w dniu 10 czerwca br. przedstawiliśmy konkretne zarzuty dotyczące linii programowej, błędnych decyzji kadrowych (które nie były konsultowane nawet z dwoma zastępcami – red. Z. Szczepaniakiem i red. P. Woldanem), dających negatywne skutki. W odpowiedzi usłyszeliśmy jedynie, że jesteśmy „bandą komuchów” i że „stare czasy już nie wrócą”. G. Romanowski oświadczył, że podejmował i będzie podejmował decyzje kadrowe wyłącznie jednoosobowo, bo „skończyły się czasy, kiedy zespół miał coś do powiedzenia”. Naszym zdaniem właśnie metody postępowania red. G. Romanowskiego są żywym przeniesieniem z owych „starych czasów”. Na zakończenie usłyszeliśmy groźby pod adresem zespołu. Potwierdziliśmy ich już zażądanie od jednego z naszych kolegów, by złożył pisemne wypowiedzenie z pracy.

Ponieważ w grę wchodzi dalsze istnienie naszej gazety i los kilkudziesięciu zatrudnionych w niej osób, kategorycznie domagamy się usunięcia z zajmowanego stanowiska red. G. Romanowskiego i odsunięcia go tym samym od negocjacji przetargowych, bowiem redaktor naczelny „Głosu” nigdy nie reprezentował interesów całego zespołu. Proponujemy, by w dalszych negocjacjach uczestniczyli red. Zdzisław Szczepaniak i red. Paweł Woldan, do których mamy zaufanie i wiemy, że będą działać w interesie gazet!

Podpisali: Teresa Caban, Henryk Sobierajski, Jan Hofman, Dzierżyśław Prosnak, Wiktor Sawiuk, Mirosława Szumska, Wojciech Filipiak, Jerzy Rybczyński, Mieczysław Wójcicki, Jerzy Karbowski, Ireneusz Bańbura, Marek Kowal, Jacek Michoń, Iwona Knypl, Krystyna Kościelniak, Paweł Nowak, Marek Gałązkowski, Ryszard Poradowski, Zbigniew Grzywacz, Andrzej Marciniak, Jolanta Bogdańska, Bogusław Buraczyński, Ewa Kaczmarek, Hanna Jaskiewicz, Janina Smoleń, Jerzy Adamik, Zdzisław Strzypek, Jerzy Gałęba, Wiesława Kamocka.

tego faktu do urzędu zatrudnienia. Gdy przyszła kolej na nas, trzeba było aż interwencji rady pracowniczej u burmistrza, aby kierownictwo zakładu dopełniło podstawowych formalności, koniecznych dla zwolnień grupowych. Nic nam także nie wiadomo o niezbędnej opinii związków zawodowych. Podejrzujemy, że takiej opinii wcale nie brano pod uwagę. W ogóle nie wiemy, jakie były kryteria typowania osób do zwolnienia. Nikt nas o nich nie informował, po prostu – pewnego pięknego dnia otrzymaliśmy na świstku papieru wymówienia. Większość z nas ma po kilkanaście lat pracy w „Lido”, niektóre są tuż przed emeryturą. Co teraz z nami będzie? Skończył się komunizm, a nas jakby kopniakiem wyrzuciono po prostu z zakładu, bo jesteśmy już niepotrzebne.

Chcemy też dodać, że w ramach wymówienia zmuszono nas do pójścia na okolicznościowe urlopy, za które płaci się 75 procent stałego zaszerogowania. Tymczasem, skoro jesteśmy na grupowym zwolnieniu, powinniśmy otrzymać 100 procent wysokości wynagrodzenia. Skierowaliśmy w tej kwestii sprawę do Sądu Pracy w Zgierzu. Może wreszcie pracodawcy nauczą się, że prawa należy przestrzegać nawet w „podbramkowej” dla zakładu sytuacji? Przecież to nie my spowodowałyśmy trudności finansowe zakładu. Dlaczego mamy odpowiadać za cudze błędy?

Pracownicy „Lido”
(imiona i nazwiska
do wiadomości redakcji)

Pytania do A. Kaszpirowskiego

– na wyłączność „Odgłosów”



– Jakim pan jest człowiekiem?

– Czego bym nie powiedział, pomyślę się. Tolstoj ujął to tak: człowiek ma trzy charakterystyki – jeden, o którym sam mówi; drugi, o którym mówią inni; a trzeci, to ten prawdziwy. A jakim ja jestem człowiekiem? Wydaje mi się, że główną moją zaletą jest szczerść wobec innych – nigdy nikogo nie oszukuję. Ponieważ tego samego wymagam od innych, nie mam łatwego życia. Nie lubię rzeczy drobnych, sam również nie rozdrabnam. Wydaje mi się, że mógłbym być i jestem dobrym przyjacielem.

– W czasie swoich występów często cytuje pan poezję. Czy próbował pan kiedyś sam pisać?

– Wszystko co napisałem, zostało zapisane w moich zwojach mózgowych. A tak pisać, biorąc długopis do ręki...nie, ja zawsze wolałem mówić. Z pisaniem jest u mnie gorzej. W czasie pisania tracę myśli. Niemniej jednak, chcę powiedzieć, że jestem autorem wielu aforyzmów, które lubię przytaczać w czasie rozmów. Zacytuję jeden z nich: z całego złota na ziemi najgorszym złem jest samo złoto. Tych aforyzmów jest około setki. Rodzą się one podczas mojej pracy. Myślę, że uda mi się wydać je w książce, może nawet w Polsce.

– Niedawno gazety pisały, że zamierza pan zamieszkać w Polsce na stałe.

– Nie trzeba wierzyć gazetom. Dziennikarze często nie sprawdzają prawdziwości informacji, które publikują. Pojawiała się, co prawda, u mnie taka myśl, żeby uzyskać prawo do przebywania, ale nie mieszkania, w Polsce na stałe. Okazało się, że musiałbym na stałe wyjechać ze Związku Radzieckiego. Tego zrobić nie chcę, przynajmniej nie dziś. Cały czas posiadam paszport radziecki.

– Czy lubi pan Polskę?

– Bardzo lubię, bo tutaj nabieram sił. Bez względu na to skąd przyjeżdżam: czy ze swojej ojczyzny, czy z Ameryki, zawsze w Polsce nabieram sił. A gdy już ich nabiorę, to nie powstrzymam się ciągnąć mnie tam, gdzie je tracę. To znaczy, do mnie, do ojczyzny.

P.S.

Korespondencję do dr. A. Kaszpirowskiego prosimy nadsyłać pod adresem redakcji. Wśród nadsyłających listy co tydzień rozlosowana będzie kasetka z nagraniem seansu doktora. Prosimy o dokładne podanie adresu!

Jedno danie Anny-Marii

Przygotowałam synowi sutą kolację. Zamiał twarożku z rzodkiewkami i szczyptką kawał toruńskiej, pomidory całe trzy, niech sobie chłopak poje, skoro jego matka wypuszcza się obżerać rarytasami na imieninowym przyjęciu.

A dawno na żadnym nie byłam. Chociaż mam spore grono znajomych i kiedyś prowadziłam ożywione życie towarzyskie, to jakoś z biegiem lat, z biegiem dni, a zwłaszcza z biegiem ostatnich dwóch lat nasze życie spontanicznie poczęło zamierać, ograniczać się do telefonicznych pogaduszek w rodzaju: a co u ciebie słyca? Nie uważasz, że wreszcie należałoby się spotkać? lecz kiedy? bo ja w przyszłym tygodniu nie mogę? to co? odłożymy na przyszły miesiąc?

Przychodził ten „przyszły”, i kolejny mijął, i jeszcze jeden, a spotkania furt przy telefonie, zawsze zaczynane tym rutynowym, konwencjonalnym pytaniem: co słyca? Bo nawet obowiązkowo obchodzone rocznicowo-imieninowe imprezy też ustaly. Mało kto je wyprawił. Joanna na przykład po prostu wyłączyła przed swoimi imieninami telefon. Człowiek całkiem niepotrzebnie odhaczał tę Joannę w kalendarzu, żeby nie zapomnieć o złożeniu życzeń, przy okazji których usłyszy niewątpliwie: oczywiście, kochana Anno-Mario, wpadniesz jak zwykle, nie sprawisz zawodu?, obliżywał się w wspomnienie owych cudownie upieczonych kurczaków na rożnie, jakie Joanna podała w zeszłym roku elegancko z białym winkiem, a tu, psia krew, w słuchawce brzęczy sygnał i brzęczy, a ona, psia krew, nie odbiera, ta Joanna! Co jest?

Przy którymś tam kolejnym bezskutecznym podejściu telefonicznym ruszyłam resztkami swoich szarych komórek. Ha, a ja niby co wymyśliłam, żeby nie urządzić swoich własnych urodzin? Myśl, że będę musiała pichcić, a szykować, a podawać, a zmywać, a na dodatek wydawać tyle, psia krew, pieniędzy – wywołała

u mnie ostry sprzeciw, który objawił się wręcz fizycznie: gęsią skórka na plecach. Jeszcze to pichcenie i całą resztę mogłabym wytrzymać, w końcu urodziny obchodzi się raz w roku, lecz te rozmowy biesiadne swoich znajomych? Te rozmowy nieodmienne jak Polak z Polakiem?

A o czym to Polak z Polakiem w ostatnich latach, a już szczególnie odkąd znalazł się we

Jak człowiek z człowiekiem

własnym domu rozmawia? Niestety, coraz mniej o s. nurowadłach, które za komunę musiał z powodu ich braku w kioskach Ruchu i sklepach pasmanteryjnych sam sobie skręcać pracowicie, jak to nam Zofia Kucówna z przejęciem ongiś całkiem nie tak dawno w telewizji opowiadała. Teraz sznurowadła, w jakich sobie człowiek kolorach i długościach wymarzy, może nabyć na co drugim rogu Piotrkowskiej wprost na ulicy. Sznurowadła wyszły naprzeciwko naszym ludzkim potrzebom, i to jest na pewno osiągnięcie gospodarcze i nie tylko. A i kamasze też stały się ogólnie dostępne w każdym nieomal butikiu. Wydawać by się stąd mogło, że Polak z Polakiem – kiedy już i sznurowadła zyskały, i kamasze do sznurowadła, powinni czuć się usatysfakcjonowani i rozmawiać wyłącznie jak Europejczyk z Europejczykiem.

Ale nie. Na Wojciecha, ostatnich imieninach zaliczanych przeze mnie, między sałatką jarzynową a śledziem w śmietanie, solenizant włączył osobiste telewizor na wiadomości. Nim one dobiegły końca zebrani potworzyli własne lobby. Każde było bardzo głośne i bardzo elokwentne, zaś w miarę upijanych toastów za zdrowie solenizanta, usztyniały się stanowiska. Pani domu nie zdążyła z orzeźwiająjącym barszczykiem nomen omen czerwonym.

Solenizant, który bezwzględnie opowiadał się za Roadem, zwymyślał męża Joanny od elektryków i jeszcze gorzej. Moja noga więcej w tym domu nie zostanie, oświadczył na to mąż Joanny, i wraz z żoną opuścili imieniny, rezygnując z deseru.

Więc wtedy ostatecznie doszłam do wniosku, że tradycja gościnności naprawdę chyli się ku upadkowi. I pomyśleć, że: „W Polsce gościnność nie tyle poczytywana za obowiązek, za cnotę, jak za przyjemność, rozkosz, potrzebę życia...” „pisał w swoich „Wspomnieniach”

Koźmian, ale nie Kajetan, lecz Andrzej Edward. „Potrzeba życia” u naszych zniewolonych rozbiorami antenatów przybierała różne formy. Byli i tacy, co gości porywali w jasyr niczym Tatarzy branki. Tak, tak, zdarzało się, że taki dziedzic, chociaż mu dwór aż pękał w szwach od nadmiaru gości, to jeszcze wysiadywał na ganku i przez lunetę obserwował trakt, gdzie tam li kto znaczy a zdalny do kompanii przy biesiadnym stole? Jeżeli akurat jechał – posyłał służbę, która gości i siłą doprowadzała do stołu. Oj, żyło się w tamtej Polsce rozbiorowej gościnnie, nikt nikomu ZOMO nie groził, a jeśli ktoś wykazywał talenta towarzyskiego, to mógł się jutro nie obawiać, ani bezrobocia, ani głodu, ani zwolnień grupowych, ani nic z tych rzeczy, które nas dziś na co dzień straszą. Dziś z konwersacji towarzyskiej obywatel nie wyżyje. A taki dla przykładu Konstancy Plater jeździł sobie przez 26 lat po litewskich majątkach za dach nad głową, wikt i opierunek gościnny odpłacał się głośnym czytaniem dzieł wieszczki Adama. Goście małowolni nie byli mile widziani. Mówiono o nich, że „Gość z brzuchem tylko i zębami powinien siedzieć między ostami”.

Moi ewentualni urodzinowi goście wszakże wszyscy super wygadani. A tak: Joannę z mę-

żem muszę zaprosić. Wojciecha z żoną również. No i innych, co te inne lobby tworzą też. Toteż gdy Joanna zadzwoniła z życzeniami, rozkaszałam się kokluszowo, następnie zachrypiałam w słuchawkę, żem chora, wirus mnie podłapał wredny, od dwóch dni lykam vibro, witaminy, sąsiadka z pierwszego piętra bańki mi postawiła, ale ten wirus nie chce się odczepić, więc bardzo mi przykro, et cetera.

Skoro ja na własne urodziny omal się nie uśmieciłam, aby tylko uniknąć tych rozmów, to

dlaczego Joanna w swoje imieniny dla tych samych powodów nie mogła udać, że wyszła z domu i nie powróciła?

Ale do Małgosi wybieram się w pełnym poczuciu bezpieczeństwa. Małgosią, gdy tylko zaczęłam kręcić, że właśnie „wzięła” mnie migrena, powiedziała: Nie wyglądasz się, Anno-Mario. Z telewizora wykręciłam lampę, radio wyniosłam do piwnicy, takie środki bezpieczeństwa, gdyby ktoś chciał wpaść niespodziewanie. Bo tak naprawdę to wszystkich poinformowałam, że wyjeżdżam do sanatorium. Będziemy tylko we dwie, Anno-Mario. Upiekłam schab z rodzynkami jak za dawnych czasów. A szampan mrozi się od wczoraj w lodówce.

– O, Boże – powiedziałam – to ja upiekę tort śmietankowy!

I upiekłam. Prawdziwy. Taki, jaki pięknie tylko na superwyjątkowe uroczystości. Boże, będzie cudownie! Objemy się schabem, tortem, upijemy szampanem i wreszcie pogadamy ze sobą. Tak od serca. Jak człowiek z człowiekiem.

Jeżeli jeszcze potrafimy.

Anna-Maria

E. L. Skalnik Z tygodnia na tydzień (5)

Cicho – powiedział do stojącej w drzwiach żony. – Dzieci posnęły.
– Widzę. A wiesz, co się stało w naszym domu?
– Nie, skąd mam wiedzieć!
– Siwoszków okradli. W biały dzień. Policja już u nich jest.
– To wiem – skłamał. – U mnie też był jeden. W kuchni go przyjąłem, papierosa wypalił i poszedł sobie.
– A czego chciał? – zdziwiła się Józefa.
– Bo do nas też się włamywali, ale ja ich spłoszyłem. Złodziej zdołał zamek tylko otworzyć. Zawsze mówiłem, żeby na wszystkie zamki zamykać, ale wam się nie chce. Ot i macie! – powiedział do niemal z dumą.
– Wziął coś? – zaniepokoiła się.
– Nie miał czasu. Mówiłem ci przecież, że go splo-

kiedy na mamę patrzę. A kto z tego domu podpisywał się na liście przeciwbiorczynej tych dewotek parafialnych? Nie mama przypadkiem? Jeszcze ojcu podsuwała: podpisz się, Heniek, dla świętego spokoju, inaczej wezmą nas na języki.
– Joasia, ulituj się ty nade mną. Czy ty niczego nie rozumiesz?
– Rozumiem. Chyba nawet za wiele.
– Jakbym nie miała rodziny, ciebie, was, za próg bym ich nie wpuściła, dziecko – głos matki załamał się słochem – Obchodzą wszystkie mieszkania, numer za numerem, potem odhaczają przecież w kościele, że człowiek się wychylił. Oni tam wszystko zapisują, że oplatek i za ile się wzięło, że ksiądz po koledzie, a teraz te podpisy. Kto wie, co za miesiąc albo za pół roku od takiego jednego podpisu będzie zależało? Joasia. Dziecko. Ty musisz. Musisz na medycynę. Mu-

Trzy pokoje z kuchnią w starym budownictwie

szylem. Powiedziałem o tym policjantowi, ale on nawet nie zapisał, bo przecież złodzieja nie widziałem.
– Babciu! Pić! – to Damian, który się nagle obudził.
– Dobrze, dobrze, zaraz ci zrobie – powiedziała babcia i wyszła do kuchni.
Koniec ciszy. Siegnął ręką po pilota, żeby zobaczyć, co też tam nadają w telewizji.

* * *

– Joasia... dziecko...
Starala się stłumić w sobie odruch współczucia dla tych dwóch sznurowadł obfitych też, spływających wzdłuż zapadłych policzków matki. Matka w ciągu ostatnich trzech tygodni aż poczerwiała na twarzy, a ojciec przygarbił się i schudł tak, że nawet szanowny Marek zaczął zauważać: Co ojcu? Ojciec wygląda jak półtora nieszczęścia! Tylko Anita, zajęta sprawami w szkole, z której – kto wie? – czy jej nie wywał w ramach redukcji etatów, nie dostrzegła ciężkiej atmosfery w domu, lazała i lamentowała, że jaka to ona była głupia, bo zamiast studiować na uniwerku, kończyła zaledwie SN.
– Nie marnuj sobie życia... – ręce matki supłały się w błagalnym geście. Napiętowane grubymi żyłkami, miały reumatyczne zgrubienia przy każdym stawie każdego palca. Brzydkie, rozczłapanie niczym stare kapcie, zużyte od pracy ręce, pomyślała Joanna. Nie chce takich. Za nic.
– Czy mamie chodzi o moje życie? Czy o własną, zawiedzioną ambicję?
– Dziś człowiek bez studiów nic niewart – chlpała matka – popatrz na Anitę...
– Anita jest klempa! – przerwała matce – a ja studia mam w nosie!
– Boże, Boże...
– Wzywa mama Pana Boga o pomoc i jednocześnie namawia mnie na skrobanek? Rzygać się chce,

zrobiła. Z pełną premedytacją puściła się z podstarzałym, brzuchatym kumplem swego brata, Andrzeja.
A oni sądzą, i ojciec, i matka, że to Tomek. Matka pałała oburzeniem: niby porządnie wyglądał, taki uprzejmy, miły! Heniek, musisz z nim porozmawiać! Zmarnował nam dziecko! Niech poniesie odpowiedzialność! Joaska, gdzie on mieszka? Jak się nazywa? Gadał, rozumiesz? Gadał! Łzy matce leciały jak grochy, lecz twarz miała rozjuszoną. Heniek! krzyknęła, niech się ten drań z nią przynajmniej ożeni! Po co? odezwał się chrapliwy ojciec, każde słowo wymawiał z wielkim trudem – Po co draniowi moja córka? Żeby ją jeszcze bardziej unieszczęśliwić?
– Zabije się.
Podeszła do okna. Oparła się czołem o szybę. Podwórce jak czarna studnia z połyskującymi gdzieniegdzie oświetlonymi prosto kątami okien. Smrodliwe, wybetonowane, bez skrawka zieleni podwórce mego dzieciństwa, pomyślała Joanna. Fala młodości targnęła żółdkiem, podpłynęła pod gardło. Jeżeli mam usuwać, powinienam już, zaraz, natychmiast. Niedługo trzeci miesiąc.
Kiedy ostatni raz była u tego sukinsyna, tam, w tej jego bajernej willi w Łagiewnikach, uważała, że ma go w garści, że wystarczy oznajmić: Paweł, będę miała z tobą dziecko, a on od razu założył jej brylant zaręczynowy na palec.
– Co ja narobiłam? Ratuszku – powiedziała Joanna do tej szyby, do tego podwórca, do tych okien z kamienicy naprzeciwko, za którymi ludzie podobni do różnych Domagalików, różnych Jurczyków i innych Kowalskich wiodą swoje mozolne, mrówcze, zasrane życie.
Pawła poznała u Andrzeja. Ani ojciec, ani matka nie wiedzieli, że już od ponad roku odwiedza brata. Boże, o ilu rzeczach nie wiedzieli i oby nie dowiedzieli się nigdy, ci jej biedni, ufni niczym małe dzieci rodzice. Nję wiedzieli na przykład, że te dwa melony, które niby znalazła na ulicy, były od brata. Jesteś, siostrzo, kława laseczka, kup sobie coś fajnego, po-

wiedział Andrzej i rzucił tą dwójką. Nie wiedzieli też, że nauczyła się popijać różne fajne drinki. Czy palić marlboro. Nie wiedzieli najważniejszego, że zamarzyło się jej takie życie, jakie prowadził Andrzej. Zapraęnęła pięknego domu, luksusowych mebli, miękkich dywanów, tego szpanu, z którym jej brat wyciągał ot tak sobie dwa melony i rzucał się nimi niedbale. Mieć forszę, żyć wygodnie, i co więcej trzeba? Można bimbac na wszystko. Otyły facet z komiczną kitką na byczym karku dogonił ją zaraz przed furtką willi. Mam tu wózek, podwieź panią? Zawahała się, ale gdy zobaczyła to lśniące volvo, które z galanterią otwierał, skrupuły ustąpiły. Andrzej ma gust, powiedział ruszając z fasonem. Uśmiechnęła się, a więc brał ją za jedną z tych panienek brata. A co tam, niech bierze, wszystko jedno. Może chce pani zobaczyć moją chatę? proponował dalej. Będę grzeczny, przysięgam. Andrzej to mój przyjaciel, nie skrzywdzę jego dziewczyny. Nagle poczuła się tak, jakby stanęła na trampolinie, a pod sobą miała odległą tafle wody. Strach i jednoczesne podniecenie. A co tam, może obejrzeć. Gdy już zobaczyła tę „chatę” Pawła, przy której pięciopokojowa willa Andrzeja to zwykły kurник, pomyślała, a dlaczego nie? Wypita dwa drinki, udała, że jest pijana i nie wie co się z nią dzieje. A potem płakała. Płakała naprawdę, bez udawania, z obrzydzenia do siebie samej i do tego mężczyzny, który pochylał się nad nią mówiąc: to ty, malutka, z Andrzejem nie tego? Z nikim jeszcze tego nie robiła? Och, malutka, taki fart przytrafił mi się pierwszy raz w życiu, słowo daję. Malutka. Moja malutka. Będziesz miała ze mną dobrze, malutka.

To wyobraziła sobie, że wystarczy zacisnąć zęby, w końcu wszystko w życiu posiada swoją cenę, i oto ta bajerna willa, z kominkami, barkiem, boazeriami, marmurami, skórzanymi kanapami made in Holland będzie jej. I to volvo lśniące nikłami też będzie jej. I ten szmal Pawła też! Wszystko jej. Na zawsze. Na całe życie urządzona. Ale jego ręka, pełzająca czule po jej brzuchu, zatrzymała się, załęgła ciężarem. To powiedział, malutka, że jesteś w ciąży? Niby ze mną, tak? Za ile? Zdrętwiała. Co on mówi? Przecież dopiero przed chwilą dyszał, że jest cudowna, nawet pierś masz takie, jakie lubię, te jej pierś chęba najbardziej go podniecały, mówił moje cyczuszki, moje pączuszki, ale ja ci je rozwinę, malutka gąszczko, bo w chwilach podniecenia nazywał ją też swoją gąszczką, glupitką, malutką gąszczką, którą on nauczył życia, i świat jej pokaże, w futra ubierze, jeżeli będzie mu posłuszna i grzeczna, i zawsze tylko jego.

Jego własna, niczyja więcej, malutka gąszczka. Słuchaj no, kończył tym ciągle wieszczotliwie rozmarnym tonem, z tą ręką wciąż na jej brzuchu, nie lubię takich numerów. Znam się na nich. Zawiodłem się na tobie. Miałem cię za inną. Więc w ciąży, jesteś, mówisz? Więc za ile? Uchwyciła się jak tonący brzytwy tego jego efektownego powiedzenia, że niby „miał ją za inną”. Poderwała się, walnęła go na odlew. Leżał, nie zmieniając pozycji, przyglądał się przymrużonymi oczami: takie numery też zaliczałem, malutka. Wymyśl coś bardziej oryginalnego.

Więc wymyśliła. Sam jej niechęć w kilka dni potem podsunał pomysł z rodzeniem. I trzech dni nie wytrzymał bez jej cyczuszków, kwiatuśzków; podjechał pod budę volvo, idiota, dziewczynom powypadały gały, potem musiała odpyierać pytania ciekawskich: matko, Joaska, a co to za oldboy? Matko, Joaska, gdzie ty takiego poderwałaś?

Cdn.

oo? – powiedział. Wyglądał, jakby wiadomość ta sprawiła mu częściową ulgę, ale robił też wrażenie jakoś dziwnie zbudzonego. Jak mały chłopak, który nagle znalazł się sam na sam z piłką pośrodku boiska w czasie swojego pierwszego meczu rugby w reprezentacji szkoły.

– To ostatni wieczór Mike'a. Może byśmy gdzieś poszli? – powiedziała szybko Laura z udawanym ożywieniem, niebezpiecznie graniczącym z histериą. – Nawet, gdyby to miał być tylko drink w „Caledonian”. Proszę cię, Eric.

Co, jak się Crofts zorientował, właściwie oznaczało: „Wydźmy stąd, bo jeżeli będziemy dalej tu siedzieli i nienawidzili się nawzajem, to się załamiemy”.

Spojrzał na zegarek, zanim wyszedł w ślad za nimi z budynku farmy. Prawie dziewięć wieczór. Gdy wsiadali do landrovera w pełnym napięciu milczeniu, zobaczył, jak ciemno i zimno zrobiło się na dworze.

A oświetlona zielonkawym światłem padającym z tablicy przyrządów twarz Erica Harleya, pochylającego się, by nacisnąć rozrusznik, nagle, na jeden ulotny moment, nabrała upiornego zabarwienia twarzy kogoś już martwego.

Włócznik (3)

* * *

W barze hotelu „Caledonian” było zaskakująco tłocznie. Zapewne mieszkańcy Auchenzie nie mieli tego chłodnego wiosennego wieczoru jakiegoś szczególnego wyboru możliwości realizacji swoich potrzeb towarzyskich.

Ich gospodarz, Baggio... Nialls rozdzielał trunki ze swej pocieszająco bogatej kolekcji tym, którzy jeszcze dręczyło pragnienie i przyjazne rady tym, którzy już nadto zaspokoiili swe potrzeby. Crofts skupił się, gdy dostrzegł wojownicze spojrzenie Groźnej Matki dobiegające go spośród skądinąd przyjaźnie nastrojonego tłumu. Z gniewnie zaciśniętymi ustami rzuciła wyzwanie finansowym ograniczeniom narzuconym jej przez Ministerstwo Opieki Społecznej i, zaciskając w rękę jak granat baccardi z coka, wychylała do kąta pomarszczonego mężczyzny o całkowicie usprawiedliwionym ponurym wyglądzie. Crofts ze szczerym współczuciem domyślił się, że ów uwieczony mężczyzna musi być jej mężem – kłusownikiem Timem, któremu niedawno w Tarvit grożono dubeltówką. Było to jednak przeżycie zapewne o wiele mniej stresujące niż wesoly wieczorny wypad z żoną.

Tym razem Matka postanowiła zignorować Croftsa przemijającego w ślad za Ericem i Laurą. Wdzięczność, jaką czuł z tego powodu, została jednak zmacona, kiedy usiedli i spojrzeli w stronę baru. Dla odmiany napotkał teraz nieruchomy wzrok Harry'ego Mearnsa.

Cóż w tym, że Harry też właśnie nocy był obecny w hotelu „Caledonian”, nie kryło się nic złowieszczonego. Ani w obecności jego trzech towarzyszy, którzy z półlitrowymi kufkami w dłoniach spoglądali na Harleyów i na Croftsa z należytym szacunkiem robotników rolnych, spotykających swoich chlebodawców na gruncie towarzyskim. W kofcu mieszkali tutaj.

Mimo wszystko jednak uczucie, jakie ogarnęło Mike'a w chwili, gdy ich spojrzenia się spotkały, było dość dziwne. Z byłym szefem kompanii wymienił zaledwie parę słów tuż po przyjeździe i ani razu się z nim nie spotkał, nie licząc momentów, kiedy obserwował go z daleka i z ukrycia. W przeciwnym razie musiałyby nastąpić krótkie spieczę. Mearns czuł do Croftsa niechęć, powodowaną nienawiścią do jakiegokolwiek władzy, nawet jeżeli było to tylko dowodzenie oddziałem najemników, Crofts zaś odpłacał mu pogardą, której nawet pomoc udzielona w czasie angolańskiej kłeski nie była w stanie zmniejszyć.

Kiedy jednak jego spojrzenie napotkało wzrok Mearnsa, Mike zrozumiał, że pozostało już bardzo niewiele czasu. Do tej pory były to tylko przecucia, zaledwie świadomość, że wydarzenia nieodwracalnie zmierzają do nieuniknionego rozwiązania. Obecnie doszedł jeszcze jeden dodatkowy czynnik – nieomylny sygnał widoczny w spojrzeniu Harry'ego. Był w tym spojrzeniu jakiś rodzaj satysfakcji, ale bardzo kontrolowany. Miał wyraz oczu szefa kompanii, starszego sierżanta Mearnsa, wyraz, który pojawiał się tuż przed każdym atakiem przeprowadzonym przez kolumnę „Delta”.

Być może Eric również to zobaczył i zrozumiał, i poczuł z tego powodu wyrzuty sumienia. W każdym razie ponownie zaczął ostro pić, opędzając się przed delikatnymi próbami Laury, aby go powstrzymać. Jego wzrok ponownie stawał się tak samo szklany jak poprzedniej nocy i znów pojawił się w nim wyraz przerażającej pustki.

Około dziesiątej był już ponuro zagłębiony w sobie. Trzy porcje whisky, później jego umysł przestał panować nad językiem i poczuciem rozsądku.

Wybuch musiał nastąpić. Był nie do uniknięcia. Niechcący takim detonatorem stał się właśnie Mearns. Być może chodziło tu o sposób, w jaki mimowolnie co jakiś czas on i jego ludzie zerkali w stronę Harleyów. Z całą pewnością nie mieli zamiaru prowokować awantury, ale Eric nie potrzebował już żadnych pretekstów. Przez jakiś czas patrzył na całą tę czwórke przez szkło swojej szklanceczki, aż wreszcie zmarszczył brwi.

– Harry znowu nas obserwuje – mruknął nagle. I zanim zdolał go powstrzymać, wstał i zaczął machać niepewnie ręką. – Hej, chodź tu, Harry! Chodź i powiedz nam, dlaczego zawsze nas obserwujesz!

Laura z przerażeniem spojrzała na Croftsa. Niektórzy ze zgromadzonego w barze tłumu zwrócili uwagę na zamieszanie i już się odwracali z niepewnymi uśmiechami na twarzach.

– Widzisz Harry'ego, Mike? – Eric wykrzywił się. – Dobrego, starego sierżanta Harry'ego?

– Siadaj, Eric – warknął Crofts. Nie był to czas ani miejsce na konfrontację. Harley zignorował go. Patrzył wściekle poprzez tłum na Mearnsa już nie kryjąc swych uczuć.

– No chodź, Harry, i powiedz nam. A może wolisz, żebym to ja zrobił, co? Czy chciałbyś, żebym powiedział im, że nas obserwujesz dlatego, że nas nienawidzisz?

Crofts zeszytniał. Mearns szedł w ich stronę z przyjaznym uśmiechem, a pozostała trójka kręciła się niezdecydowanie przy barze. To jednak nie powstrzymało Erica. Odwrócił się niedbale i powiedział do Croftsa:

– Tacy już są, wiesz? Harry i jemu podobni – oni wszyscy nas nienawidzą. Nienawidzą nas nawet wtedy, kiedy nas wykorzystują. Jesteśmy spisanymi na straty, mój miły. Jak i inne ludziki z ideałami. Ale oczywiście Harry wie wszystko o tych małych facecikach. Jadą sobie zobaczyć syrenkę, a zamiast niej spotykają kumpli Har... Mearns najwyraźniej potknął się podchodząc do nich i padając całym ciężarem na Erica przerwał potok jego bełkotliwych inwektyw. Krzesło, na którym siedział Eric, poleciało w kąt sali.

– Bardzo przepraszam, Panie Harley – oznajmił z pełnym zakłopotania przejęciem, podnosząc Erica i otrzępując mu marynarkę. – Te moje kulsy... cholerny niezgrabiasz ze mnie. Może drinka, co? Drinki dla pana, pani Harley i tego drugiego dżentelmena.

Tylko Crofts dosłyszał właściwy tekst, warknęty lodowatym szeptem.

– Weź stąd tego chlapiącego ozorem sukinsyna, majorze. I to zaraz! Bo w przeciwnym razie jest już trupem... i lepiej będzie, jeżeli w to uwierzysz!

Nie było czasu na dyskusję. Nie można było też poddać się początkowej pokusie i przyładować Mearnsowi, nie zważając na jego chłopaków. I tak stali się już przedmiotem zainteresowania wszystkich zgromadzonych w barze „Caledonian”. Ludzie przyglądali się im ze słabo skrywaną ciekawością. Baggio Nialls wyszedł już z baru i nie bardzo wiedział, co ma zrobić. Laura zbłądła gwałtownie.

Szybko złapał Harleya za ramię. – Chodź, Eric. Pora iść. Daj mi kluczyki od row... Ale Eric odwrócił się gwałtownie w jego stronę. Usta dygotały mu z wściekłości.

– Ty? Ty jesteś nie lepszy od niego, ty dwulicowy sukinsynu! Ty i ona! Ta dziwka, moja żona...

– Eric – zawołała z przerażeniem Laura. – Nie, kochany... Proszę!

Crofts poczuł, jak coś podchodzi mu do gardła – ze wstydu, z poczucia winy i... lęku.

– Słuchaj, Eric, pogadamy jutro. Zanim wyjadę.

– Żeby na nią poczekać! Uważasz, że tego nie zauważyłem, co, Crofts? Że nie wiem o tym, że masz zamiar się z nią spotkać po to, by ją pieprzyć jak wtedy w Jo'burgu... tę cholerną dziwkę, która chowa się za tobą!

Rzucił się do przodu i uderzył Laurę. Ktoś z przyglądającego się tłumu krzyknął, widząc, jak kobieta stoi nieruchomo, pozwalając, by cios dotarł do celu. Tylko białe ślady palców, które pojawiły się na jej policzku, i lśnienie płynących ciurkiem lez świadczyły o jej cierpieniu.

– Zostaw ją w spokoju! – ryknął Crofts chwytając Harleya za rękę. Nagle poczuł, jak eksploduje w nim wściekłość.

Eric wrzasnął hysterycznie: – Zabiję tę dziwkę! – i ponownie szarpnął się do przodu.

Crofts rzucił jedno spojrzenie na Mearnsa – nawet on wyglądał w tej chwili na kompletnie zdezorientowanego – a potem chwycił Harleya, obrócił go i z całej siły popchnął. Eric machając rękami dla złapania równowagi przeleciał między rozstępującymi się w popłochu nieszkancami Auchenzie. Michael ruszył za nim w ślepej złości.

– NIEEE! – krzyknęła Laura z takim bólem, że wszyscy w sali zamarli w bezruchu: Crofts, Eric Harley i nawet Baggio Nialls, który ruszył ku nim ze stanowczym zamiarem zaprowadzenia porządku.

Dopiero wtedy Eric wydał dziwny, tkający okrzyk, odwrócił się i zaczął na oślep uciekać przed samym sobą i uświadomionym nagle koszmarem swego postępków. Wszyscy patrzyli z zaskokowanym zakłopotaniem, jak niepewnym krokiem biegnie w stronę drzwi. Crofts, również z poszarzałą po przeżytych wstrząsach twarzą i ogarniętą nagłą obawą o przyjaciela, zawołał chcąc uspokoić Laurę: – Dogonie go... i popędzi za nim w ciemność.

Kiedy zbiegł po schodkach „Caledonian”, usłyszał warkot zapuszczanego dieslowskiego silnika, a potem chrząst kół toczących się po żwirze. Rover Erica niepewnie wjechał tyłem z parking, zderzył się z przednim błotnikiem sąsiedniego pojazdu, a potem Michael usłyszał zgrzyt przelazącego pierwszego biegu i samochód popędził szaleńczo drogą w stronę Ardarroch i Den of Tarvit.

Crofts wahał się tylko przez chwilę. Jego obawa o Erica przytłumiła nawet niepokój o Laurę. Jeżeli wróci teraz po nią, straci jeszcze więcej czasu, a pełne zgrozy spojrzenie przyjaciela, które dostrzegł tak wyraźnie na kilka jakby zastępych w czasie sekund przed jego historyczną ucieczką, nie pozwalało mu ryzykować nawet chwili opóźnienia. Podobne spojrzenie widział dotąd tylko raz w swoim życiu. Pojawiło się ono w oczach sierżanta Boschego ponad rok temu. Wtedy, gdy spoglądał w dziesięciomilimetrowy otwór lufy i widział w nim własną śmierć.



Crofts zaczął biec, uświadamiając sobie jedynie ogarniający go strach.

Trwało to dwadzieścia minut, w czasie których oddech rozrywał mu płuca. Był wciąż w wystarczająco dobrej formie, aby pokonać ciemną drogę do Tarvit bez zatrzymywania się, popędzany przecuciem nieszczęścia. Kiedy wchodził na podwórze, na którym opuszczony landrover stał zaparkowany krzywo obok jego mercedesa polskującego w ciemności, światła w domu pały się.

Drzwi wejściowe były szeroko otwarte. Crofts zatrzymał się i przez chwilę niepewnie nasłuchiwał... cisza wisiała nad Tarvit jak ciężka czarna kotara z aksamitu. Coś kazało mu zachować ostrożność. Prześliznął się przez drzwi do pustej kuchni. Zawałał się ponownie – spod zamkniętych drzwi przylotnego saloniku, w którym obaj z Erikiem siedzieli ubiegłej nocy, padał wąski strumień światła. Ostrożnie nacisnął klamkę i lekko uchylił drzwi – a potem otworzył je szeroko. Eric Harley patrzył niewidzącym wzrokiem w belkowanie niskiego stropu. Leżał na plecach, ręce i nogi miał szeroko rozrzucone. Przypominał martwą rozgwiazdę wyrzuconą na brzeg. Na prodzie jego koszuły widniały trzy, a może cztery dziury pozostawione przez kule, tuż nad sercem, w odległości dwóch cali od siebie. Sądząc z ilości krwi, były to pociski dużego kalibru, które wyszły przez plecy.

Ktokolwiek zabił Erica, zrobił to z zawodową dokładnością. Harley niemal na pewno był już martwy po pierwszym trafieniu, które cisnęło nim do tyłu. Kiedy padał, mimo wszystko ciągle strzelano – do chwili, gdy znalazł się na ziemi. Był to podręcznikowy przykład profesjonalnego morderstwa.

Poza jednym niewytłumaczalnym, zadziwiającym nielogicznym błędem. Wyglądało na to, że pozostawiono narzędzie zabójstwa.

Crofts jak przez sen spostrzegł broń leżącą u jego stóp. W przytępionym wstrząsem umyśle nie zadzwieczał żaden sygnał alarmowy, gdy uklęknął i podniósł pistolet nie spuszczając oczu z ciała Harleya. Ciężar broni w jego rękę okazał się dziwnie znajomy.

Kiedy wreszcie świadomość tego zaczęła świtać w jego umyśle, właściwie nie musiał spoglądać w dół, żeby się upewnić. Zrobił to jednak mimo wszystko i przekonał się, że broń wygląda dokładnie tak samo, jak przed dwoma dniami, zanim porozrzucał jej części składowe po ulicach londyńskiego Soho.

A więc to odrzucone przez Croftsa narzędzie jego najmniejszej działalności wcale nie zostało zneutralizowane. Złożono je znowu, potem oczyszczono, załadowano i wreszcie, zupełnie niedawno – wystrzelono z niego.

Z pistoletu, który kiedyś znał bardzo dobrze. Z beretty M 951.

* * *

Crofts wciąż jeszcze klęczał, kiedy dobiegł go od-

głos zajeżdżającego samochodu, trzask zamykanych drzwi i szybkie kroki. Trzymał berettę i rozpaczyliwie usiłował wszystko zrozumieć, gdy przez drzwi za jego plecami wszedł policjant.

Był to posterunkowy, młody chłopak, niemal w wieku szkolnym. Spoglądał szeroko otwartymi oczyma spod daszka czapki z otokiem w czarno-białą szachownicę. Wpatrywał się bardziej w pistolet niż w Erica i sprawiał wrażenie przerażonego.

Crofts uświadomił sobie, że jest zupełnie spokojny, zrezygnowany. Bardzo było mu żal Laury, a swoją własną niebezpieczną sytuację przyjmował do wiadomości z niemal cynicznym dystansem. Wstał i wyciągnął berettę w stronę policjanta.

– Proszę, niech pan weźmie. Ja... leżał przy zwłokach.

Policjant przelknął ślinę. – Przepisy nie pozwalają mi go dotykać. Może zechce pan położyć go na stoliku... Bardzo pana proszę.

Crofts zrobił parę kroków i odłożył pistolet. Posterunkowy stanął szybko tak, by odgrodzić go od broni, i na tym skończyły się mu pomysły. Niecodziennie natrafia się w Auchenzie na zwłoki zastrzelonego człowieka i prawdopodobnego mordercę.

– Czy nie powinien pan raczej wezwać kogoś do pomocy? – Crofts skinął ręką w stronę ciała. – W holu jest telefon.

– A więc on nie żyje? – zapytał chłopak, niebezpiecznie blednąc na widok kaluży krwi.

– Tak.

Policjant zdjął czapkę i zawałał się wzdychając palcem po jej wewnętrznej stronie, jakby była zbyt ciasna. Crofts spostrzegł, że chłopak mdli, a na twarzy wystąpił mu zimny pot.

– Niech pan idzie – popędził go. – Nie ucieknę panu. Jeżeli pan chce, mogę wyjść razem z panem z pokoju, żeby czuł się pan pewniej.

Poszli do małego holu i policjant zadzwonił. A potem Crofts trzymał mu czapkę z lśniącą nowitką odznaką, gdy chłopak wymiotował.

Sierżant w mundurze przybył po dziesięciu minutach. W białym policyjnym landroverze przywiózł jeszcze dwóch funkcjonariuszy. Jednego z nich zostawił razem z Croftsem w holu i wyprowadził młodego posterunkowego na zewnątrz. Rozmawiał z nim zbyt cicho, by Crofts mógł coś usłyszeć.

Potem przybyło dwóch policjantów w cywilu i cała grupa porozumiewała się jeszcze kilka minut, zanim wreszcie weszli do środka. Jeden z nich przeszedł prosto do saloniku, na który drugi cywil tylko rzucił okiem, odwrócił się i lekko skinął głową Croftsowi.

(Cdn.)